

Kupiłeś lub kupisz Fiata 126p? Dobre rady na str. 13  
Gasnąca gwiazda Haliny Frackowiak — str. 12  
„Samobójczy trup siny wisiał na chustce...” — str. 7

ROK ZAŁOŻENIA 1933

# Kamena

LUBLIN 16 IV 1978 Nr 8 (650)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

## Kontroluje sklepy

Maciej Podgórski

JEST nas trzech. Dwaj wieloletni kontrolerzy społeczni i dziennikarz. Pan Bolesław, starszy, bliski emerytury. Pan Henryk, w sile wieku, energiczny. I ja. Pójdziemy sprawdzać zaopatrzenie sklepów spożywczych w środę.

Wartuję prowizoryczny spis placówek handlowych. Wytypowałem duży „sam” w śródmieściu, słynący mnogością towarów, i myślę, czy by nie wybrać sklepu w osiedlu, gdzie mieszkam, ale chyba z różnych względów nie uchodzi, więc decyduje się na „sam” w osiedlu imienia jednego z wieszczów.

Pan Bolesław wybiera mały sklepik w okolicy dworca, pan Henryk — duży, peryferyjny „sam”. A ponieważ słynny jest w mieście brak pasty do obuwia, typujemy jeszcze wzorcowy sklep chemiczny.

★

Rozglądamy się po półkach i stoiskach reprezentacyjnego „samu”. Klientów i towaru nie brakuje. Widzę rzeczy, o które na co dzień raczej ciężko w naszym mieście: papryka konserwowa, ogórki konserwowe w „twistach”, kurki marynowane, bryndza, ser „solan”, dżem wiśniowy i jagodowy, dowolne ilości parówek paczkowanych w folię...

Jest około 11. W stoisku wędliniarskim duża kolejka, ale nie się nie sprzedaje, na hakach wiszą wędzona słonina i kielbasa z dzika po 235 złotych kilogram, ludzie oczekują popołudniowej dostawy wędlin. Obok, w otwartej chłodziarni,

pod dostatkiem mrożonego drobiu: kureczaków, gęsi, kaczek, indyków.

Prosimy kierowniczkę sklepu i pan Bolesław wyciąga upoważnienie wystawione przez Wojewódzki Zespół Koordynacji Kontroli Społecznej przy WRZZ. Ja miałem udawać kontrolera, więc nie nic nie wyciągam, lecz pan Henryk tytułuje mnie redaktorem i sprawa staje się jasna.

Kierowniczka prowadzi na zaplecze, gdzie ruch bodaj taki sam jak w sklepie. Konwojenci ciągle dostarczają nowy towar. Młode, wiotkie ekspedientki pchają wyładowane potężne wózki. — Taka ładna dziewczyna i taki ciężki wózek — robię idiotyczną uwagę. Zresztą panienka w fartuchu rzeczywiście dorodna, a ponadto tłumaczy mi oszołomienie, wywołane zapachem ciągnącym od pojemników z wędzonymi szynkami, baleronami i myśliwską.

W tym tygodniu sklep otrzymuje wędliny codziennie i sprzedaje w dwu rzutach — przed południem, co się dzisiaj już skończyło, i po południu. W ciągu sześciu przedświątecznych dni — a właśnie nasza środa jest tą środą przedświąteczną — sprzeda około 1200 kilogramów szynki, baleronu i poledwicy, nie licząc różnych gatunków kielbas.

— Ile z tego wykupią pracownicy sklepu? — pytam.

— Pracownik może nabyć do trzech kilogramów wędliny tygodniowo — powiada kierowniczka. — Mamy 48 osób personelu stałego — uprzedza następane pytanie.

Dokończenie na str. 4



Zespół Tańca Ludowego UMCS obchodzi właśnie 25-lecie. To już ćwierć wieku! Członkowie zespołu zdążyli się kilkakrotnie wymienić, ale mgr Stanisław Leszczyński, założyciel i kierownik zespołu, dzielnie trwa na posterunku. Zespół występuje często za granicą, ostatnio — w Austrii, RFN i Francji. Z okazji jubileuszu życzymy braci studenckiej dalszych sukcesów artystycznych, ale przede wszystkim kończenia studiów w terminie i nie na trójkę! **Foł. A. Polakowski**

Helena Gordziej

## Oj, nie lubią się oni, nie lubią...

Tadeusz Jasiński

Których spotkałam wczoraj nie zastają dnia następnego bez słów protestu pozwolili się przewieźć przez Charonową rzekę

bez pożegnania usprawiedliwień nie rozliczeni figurujący na liście dłużników odeszli

Zapadam w nagłą wyrwę

W notesie niepotrzebne adresy krzyczą zbędnym zapisem

ZACZYNAM od budynku, który wszystkich godzi, a zarazem rozdzielił. Nie jest okazały, raczej skromny, chociaż pyszni się izbami na piętrze, czym pozostałe domy w Wincentowie i Krupcu rzadko mogą się poszczycić. Nawet wincentowskie zabudowania ochotniczej straży pożarnej oraz wiejskiego ośrodka kultury są niższe, tyle że jawią się oczom bardziej rozległe, razem zapełniają spory narożnik skrzyżowania dróg. Godził, gdy dostosowywali była suszarnię tytoniu do potrzeb szkoły. Podzielił na dziesięciolecia, kiedy nadszedł czas wywieśnienia wiechy a już najbardziej — przybicia skromnej tablicy z nazwą placówki. Zdziwili się wincentowianie, że sfinansowana już blacha ze starej szkoły w Krupcu ma szpecić wspólne dzieło obu wiosek, a na świadectwach ich dzieci, a na różnych dokumentach przybijać się będzie nadal pieczęć z nazwą oddzielonej od nich tylko torem

wioski. Choć wódka chłodziła się już w piwnicy jednego z członków społecznego komitetu budowy, chociaż piwo nabierało smaku, a wiejska kielbasa wędziła się i lepiej jeszcze przechodziła czosnkiem i przyprawami, choć niewinne dziateczki uczyły się okolicznościowych wierszyków, poszedł wielki lament po wsi obchodzącej swe imieniny dwudziestego marca, zaraz po Józefie. Nie może to być! I nie będzie!

— Niech na tabliczce będzie przynajmniej napisane: Szkoła Podstawowa w Wincentowie i Krupcu. Razem obie społeczności harowały, razem zwoziły budowlane materiały, składały się na cement i cegłę. Tak będzie sprawiedliwie. — Tak między sobą i władzom powiatowym w Krasnymstawie mówili wincentowianie.

— Musi pozostać dawna treść. Po co zamawiać nową tablicę, zmieniać pieczęć? Zresztą przedtem szkoła była w Krupcu i w Krupcu pozostać musi. Nie

pozwolimy się zdegradować! Co? Majdanusy miałyby wpisać swoją nazwę i tak szpeciść nam szkołę? A na świadectwach naszych dzieci miałyby się pomieścić dziadowskie imiona tych z toru? Niedoczekanie! A zresztą to nasz sołtys krupiecki, nasz Jan Pasik pierwszy wpadł na pomysł, że budynek po suszarni byleż spółdzielni produkcyjnej można przysposobić na szkołę. On przekonał lubelską dyrekcję Wytwórni Tytoniu, on poddał myśl krasnostawskim władzom, on przeprowadził obu wioskom w przebudowie. — Tak dziwili się przeciwnom sąsiadów mieszkańcy Krupca.

— Hola, panie! To nieprawda, że granica między wioskami przebiega tylko wzdłuż toru. Na oko, to tak wygląda, ale naprawdę gospodarze z Wincentowa mają jeszcze trochę ziemi za torami. Na jakim gruncie nowa szkoła stoi? Na

Dokończenie na str. 5



# z notatnika

Marek Adam Jaworski

IV. — Nie słabnie fala protestów, zarówno w Polsce, jak i na całym świecie, przeciwko próbom wprowadzenia do arsenału broni masowej zagłady bomby neutronowej. Racja ma minister spraw zagranicznych ZSRR, Andriej Gromyko, który oświadcza w Helsinkach, gdzie właśnie przebywa z okazji 30 rocznicy radzieckiego układu o przyjaźni, współpracy i wzajemnej pomocy, że rozpowszechnianie broni neutronowej „nie jest prywatną sprawą pewnego kraju, ale problemem ludzkości wziętej jako całość... ZSRR oczekuje ze strony USA i ich sojuszników odpowiedzialnego podjęcia do propozycji ZSRR w sprawie zakazu produkcji, rozwijania i magazynowania broni neutronowej”. Gromyko niewątpliwie ostrzega też USA przed próbami uzyskania przewagi wojskowej nad Związkiem Radzieckim. Liczenie na zachowanie monopolu w dziedzinie broni neutronowej opiera się o „nאיwne kalkulacje”. Może to prowadzić jedynie do „bardziej kosztownego” i do „bardziej niebezpiecznego wysiłku zbrojeń na wyższym poziomie”.

W samych Stanach Zjednoczonych broń neutronowa stanowi węzłowy temat dnia. Jastrzębie naciskają na prezydenta Cartera. Przywódca republikanów w Senacie, Howard Baker oświadcza, że decyzja przeciwko produkcji broni neutronowej byłaby „kolejnym błędem po wielu innych błędach”. Srodki masowej zagłady, którymi dysponuje ludzkość, mogą już glob ziemski zniszczyć ileś tam razy (ostatecznie, co za różnica — dziesięć, czy sto?), ale dla Bakera wszystko to mało. Amerykańscy apologety bomby N — niejako uspokajając własną opinię publiczną — wskazują, że broń ta ma się znaleźć w Europie. Nic dziwnego, że wzmaga to z kolei powszechny niepokój na naszym kontynencie. Ewentualne użycie w razie konfliktu broni neutronowej pozostawiłoby skutki genetyczne odczuwalne nawet przez dziesięć pokoleń — jest to więc broń wymierzona nie tylko przeciwko teraźniejszości, ale i przyszłości świata!

5 IV. — O sobie jednak Amerykanie myślą bardzo egoistycznie, może nawet nadechcą całą epokę nagich mieszań... zamrożonych w pojemnikach. Publicystka „Le Nouvel Observateur” przepowiedziała wywiad z doktorem Claude Broussouloux, który jest autorem książki pt. „Śmierć w zawieszaniu”.

„Zabalsamowanie — twierdzi doktor — nie daje obietnicy przebudzenia. Natomiast człowiek zamrożony... czeka. Ceka aż uczeni znajdą formułę, która zapewni zamrożeniu, wyleczeniu raka lub starczej sklerozy. W powieściach fantastyczno-naukowych często powtarza się zdanie, że ciała będą spoczywały w lodówkach aż do roku 2100. W Stanach Zjednoczonych bowiem futurologi z Rand Corporation i Cryonic Societies właśnie na ten rok przewidzieli możliwość reanimacji, wyleczenia raka, odwrócenia procesów starzenia się i zapewnienia nieśmiertelności. Trzeba przecież jakoś przyciągać klientów, tym bardziej, że zamrożenie bardzo wiele kosztuje. W roku 1977 tabela cen ustalona przez kalifornijską Trans Time przedstawiała się następująco: doprowadzenie temperatury ciała do temperatury suchego lodu — 2900 dolarów, doraźna konserwacja ciała przy takiej temperaturze — 150 dolarów tygodniowo, przeniesienie ciała z suchego lodu do płynnego azotu — 4850 dolarów, ostateczna konserwacja w pojemniku pojedynczym — 2500 dolarów rocznie, w pojemniku na dwie osoby (można sobie dowolnie wybrać partnera) — 2000 dolarów rocznie”.

Ale to jeszcze nie wszystko. Do powyższych sum dochodzą świadczenia, które trzeba za życia płacić na rzecz „Klubu Zamrożonych”. Wpis wynosi

więc 1000 dolarów plus dodatkowo 85 dolarów rocznie!

Claude Broussouloux zauważa ironicznie: „Tak więc robotnik nie będzie się mógł prędko zamrozić i w dniu „J” zamartwychwstać raczej dyrektorzy i szefowie zarządów. Trzeba mieć odpowiednie środki, aby strażnikom swej zamrożonej mumii pozostawić dostatecznie duży kapitał, tak aby mogli należycie tę mumię zakonserwować, mimo kolejnych dewaluacji waluty i wzrastających kosztów siły roboczej. Trzeba też mieć sporą dozę naiwności, gdyż ostatecznie kryogenizacja jest dzisiaj albo znacznie kosztowniejsza, niż kiedyś, metoda balsamowania z wólk, albo też z wyjątkowym oszustwem, niekoniecznie świadomym. Człowiek, który dzisiaj poddany zostanie kryogenizacji, nie zamartwychwstał nigdy! Zatrzymanie życia bez jednoczesnego zniszczenia struktur życiowych nie jest jeszcze osiągalne. To tylko marzenia”.

Na pociechę pozostaje — zapewne nie tylko amerykańskim milionerom — to osiągnięcie medycyny, o którym przypominał autor książki „Śmierć w zawieszaniu”. Otóż przed rokiem u chorych na białaczkę w okresie remisji pobrano zdrowe komórki szpiku kostnego i następnie zamrożono je w temperaturze 195 stopni poniżej zera. W trzy miesiące później, gdy u pacjentów nastąpił nawrót choroby, napromieniowano ich chory szpik aż do całkowitego jego zniszczenia, po czym wstrzyknięto im ponownie odmrożone zdrowe komórki. Tak więc byli to pierwsi ludzie, którzy mają w swym organizmie cząsteczkę życia młodszego od nich o trzy miesiące. „Kryogenizacja — stwierdza doktor Broussouloux w konkluzji — zmieniła już dzieje kilku fragmentów naszego ciała”. I na dalsze pytanie dziennikarki („jakie to są fragmenty?”) wyjaśnia: „Obecnie bardzo dobrze zamrozić się i rozmrozić bardzo ciekłe tkanki: rogówka oka, otoczka nerwów, szpik, skóra, spermę. Proces ten przybrał spektakularne rozmiary, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, gdzie społeczeństwo bardzo hojnie się konsekrowało ewentualnemu użyciu broni atomowej. Wielu obywateli amerykańskich intencjonalnie depozituje w banku” zdrowe fragmenty swego szpiku lub spermę. „dźwięk ich komórki są szczególnie wrażliwe na oddziaływanie radioaktywności...”

Z jednej strony plany produkcji bomby neutronowej, a z drugiej — banki ze szpikiem i spermą. Na zdrowy rozum jeden wielki dom wariatów!

6 IV. — Aldo Moro nadal w rękach terrorystów. Gigantyczne poszukiwania, chyba bez precedensu nie tylko we Włoszech, nie przyniosły, jak dotąd, żadnego rezultatu.

W ostatnim dziesięcioleciu w akcjach terrorystycznych zginęło na świecie ponad 800 osób. Niektórzy przyrównują obecną sytuację do wybuchu terroru anarchistycznego na przełomie obecności stulecia. W ciągu pierwszego dwudziestolecia przed I wojną światową w wyniku zamachów anarchistów zginęło sześćdziesiąt przywódców państw. Na temat samego zjawiska terroryzmu istnieje wiele teorii. Takie np. Fred Luchsinger, wydawca szwajcarskiego Przeglądu Spraw Międzynarodowych, uważa, że wzrost liczby incydentów terrorystycznych to „nieunikniona cena, jaką Europa płaci za 30 lat pokoju. Agresywne instynkty energia destruktywna, które z pokolenia na pokolenie znajdowały sobie ujście w całej serii wojen europejskich wybuchły obecnie w formie zamachów terrorystycznych”.

Rozumowanie Luchsingera nie znajduje już żadnego pokrycia w odniesieniu do Bliskiego Wschodu, gdzie trudno mówić o pokoju. Problem terroryzmu jest zbyt skomplikowany, nie można wszystkich jego odmian wtłoczyć w jedne ramy.

7 IV. — Zamość. Stary Ratusz. Podniosły moment podpisania umowy o

współpracy — bardzo szeroko pojętej — między województwem chełmskim i zamojskim a obwodem łuckim. Z Łucka przybyli: I sekretarz Komitetu Obwodowego KPU, Mikołaj Afanasiewicz Korz i przewodniczący Komitetu Wykonawczego Obwodowej Rady Delegatów Ludu Pracującego — Borys Mikołajewicz Święciecki. Uroczystość ma charakter oficjalny, ale nastrój bardzo bezpośredni. Wszyscy się dobrze znają, towarzyszy Korz podkreśla, że współpraca okręgów przygranicznych dobrze służy umacnianiu przyjaźni polsko-radzieckiej. „Nie mamy — mówi — przed nami żadnych tajemnic”. Tow. Henryk Świdorski, I sekretarz KW PZPR w Chełmie, komunikuje, że niedawno wręczono w woj. chełmskim 40-tysięczną legitymację TPP-R.

Popołudnie. Lublin i otwarcie dwóch wystaw — Hasiora w BWA i W. Stepnia w Klubie „Nora”. O pierwszej napisze zapewne I. J. Kamiński, który w BWA do tłumnie przybyłej publiczności mówił wyjątkowo bezpośrednio, przedstawiając malarza. Cóż — twórczość Hasiora może się podobać, lub nie, ale trudno wobec niej przejść obojętnie. W każdym razie nie powiesiłbym w moim pokoju tych obrazów z wbitymi nożami, ani nie postawił na półce owej starej maszyny do szycia, przesywającej igłą celuloidową lalkę. De gustibus etc...

W. Stepień, fotoreporter „Sztandaru Ludu”, prezentuje tym razem wystawę pt. „Afric Simone”. Nie byłem na występie śpiewaka z Mozambiku, choć widziałem go w telewizji. Pochwalam Stepnia za szybkość zorganizowania wystawy. Ale na tym moja pochwała się kończy. Wystawa monotematyczna to rzecz niezwykle trudna. Przygotowanie ekspozycji z jednego tylko wieczoru zadania nie ułatwiało. Stepień „strzebił”, jak mówi Janusz Malinowski, kilkanaście filmów, ale jeśli trafił, to raz w dziewiątkę (to już nie Malinowski). Nie znaczy to jednak, bym nie zachęcał do obejrzenia wystawy. Ale nie obiecujmy sobie po niej zbyt wiele.

8 IV. — Wczoraj zakończył się w Katowicach jubileuszowy, XX Zjazd Związku Literatów Polskich. Na Zjeździe nie byłem, tym razem organizatorzy zaproszenia nie przysłali, pchać się na siłę nie potrafię. Z sobotniego numeru „Trybuny Ludu” przytaczam fragment wystąpienia członka Biura Politycznego, I sekretarza KW PZPR w Katowicach, Zdzisława Grudnia:

„Ludzie pracy czekają na nowe książki, które pomagają im żyć, pracować, kochać to, co warte jest miłości, tworzyć wielkie dzieła na miarę epoki, przewyższać trudności i przeszkody; na książki, które umacniają szacunek dla człowieka i jego codziennego trudu, które kształtują wrażliwość, poczucie piękna i harmonii, etykę życia codziennego i wzajemnych stosunków w pracy, w domu, w rodzinie. Biorąc na swe barki coraz trudniejsze i bardziej złożone działania, tworząc rzeczy wielkie, decydujące o teraźniejszości i przyszłości narodu, ludzie pracy mają nadzieję, że ich trud i wysiłek zostaną utrwalone na kartach dzieł literackich, że w tych dziełach zostanie uwiecznione piękno i patos ich życia w służbie idei. Liczą na to, że w książkach znajdą próbę odpowiedzi na nurtujące ich pytania, że lepiej zrozumieją istotę konfliktów, napięć i trudności, które zawsze towarzyszą okresom szybkiego rozwoju, wielkich przeobrażeń społeczno-ekonomicznych, że na kartach dzieł literackich zostaną utrwalone wielkość i sens przedsięwzięć podejmowanych przez obecne pokolenie Polaków w walce o wszechstronny rozkwit socjalistycznej ojczyzny”.

Kilka dni przed Zjazdem Edward Gierek przyjął prezesa ZG ZLP, Jarosława Iwaszkiewicza. I sekretarz KC zapewnił o wielkiej wadze, jaką partia i władze państwowe przywiązują do rozwoju literatury w socjalistycznej Polsce, starając się stworzyć pisarzom możliwe najlepsze warunki dla ich twórczej pracy. W rozmowie omówiono problemy dalszego rozwoju kultury narodowej, a także sprawy związane z materialnymi i wydawniczymi problemami środowiska pisarskiego.

Gdy mowa o rozwoju kultury narodowej, trzeba jeszcze wspomnieć o budowie zespołu gmachów Biblioteki Narodowej w Warszawie. Resort budownictwa ma zapewnić wysoką jakość wykonawstwa i terminową realizację poszczególnych etapów. Ano, zobaczymy.

P. S. A decyduje o tym, czy produkować, czy nie broń neutronową, odłożył prezydent Carter na okres późniejszy. Na razie więc sytuacja pozostaje w gruncie rzeczy bez zmian.

## SZPALTA O SPORCIE

TRWAJĄ rozgrywki grupy finałowej A ekstraklasy tenisa stołowego kobiet. Na czele piątki najlepszych drużyn przed rozpoczęciem rozgrywek finałowych znalazły się pingpongistki lubelskiego Motoru, przed którymi otworzyła się szansa zdobycia mistrzostwa Polski.

Wydarzenie to musi starym kibicom sportowym skojarzyć się z latami potęgi lubelskiego tenisa stołowego, o których starszym warto przypomnieć, a młodych poinformować.

Zaczęło się zaraz po wojnie. Klub Sportowy OMTUR Błękitni w Lublinie zdobył w 1948 roku mistrzostwo Polski Robotniczego Związku Stowarzyszeń „Sportowych w tej dyscyplinie sportu. Grał wtedy Tadeusz Patyński, Tadeusz Kwiatkowski, Bolesław Skirmunt i Leonard Patyński. Zespół ten grał też w I lidze. Po zjednoczeniu ruchu młodzieżowego, już jako ZS Ogniwo, dalej pozostawał w I lidze. Kadre reprezentacyjną uzupełnili Stanisław Dębowski, Leszek Zielonka i Jerzy Borowski.

Najlepsze wyniki osiągnął Tadeusz Patyński, który w latach 1950 i 1951 wywalczył dwukrotnie mistrzostwo Polski, a w 1953 roku, wspólnie z Antonim Arbachem z Ogniwa Wrocław, na turnieju w Stoczni Gdańskiej — mistrzostwo w grze podwójnej Zrzeszenia Ogniwo.

Warto przypomnieć, że Tadeusz Patyński po kilkuletnim pobycie w hitlerowskim obozie koncentracyjnym jako działacz OMTUR organizował sport robotniczy w Lublinie — „KS Błękitni” i jego sekcję tenisa stołowego. Wszyscy zawodnicy Błękitnych, a później Ogniwa, byli lublinianami; nie było wtedy jeszcze pieniędzy na drogie transfery zawodników z innych miast Polski.

Nasz dwukrotny mistrz Polski, mimo bliskiej już sześćdziesiątki, nie rezygnuje z tenisa stołowego. Przed dwoma laty zdobył jeszcze mistrzostwo Lublina na turnieju otwartym!

Obecnie trenuje tenisistów stołowych Sygnału, a w Okręgowym Związku Tenisa Stołowego, jest wiceprezesa do spraw szkolenia, odpowiedzialnym za przygotowanie wojewódzkiej kadry spartakiadowej.

Tak więc pingpongistki lubelskiego Motoru sięgając po tytuł mistrzowski nawiązują do dobrych tradycji lubelskiego sportu robotniczego z czasów, w których sportowcy jeszcze nie korzystali z takiej pomocy, jak obecnie. Chociaż... dziś ta uważana przez wielu za zabawę świetlicową gra sportowa ma swoje problemy i trudności, z których największą jest brak odpowiednich sal do treningów i gry. Rezultaty uzyskiwane przez KS Błękitni i Ogniwo dawniej, a Motor obecnie, na pewno mogą być dla wielu początkujących graczy świetlicowych zachętą do rozwijania swych umiejętności i osiągania wyników na miarę krajową.

Zyczymy więc sukcesów dziewczętom z Motoru a Tadeuszowi Patyńskiemu wychowania wielu godnych jego następców dla dobra lubelskiego i polskiego sportu, w dyscyplinie, która nawet przeszła do historii dyplomacji w stosunkach amerykańsko-chińskich.

tgw

Polska — Grecja do przerwy 4:0, po przerwie 1:2. Inaczej mówiąc wygraliśmy wysoko pierwszą połowę meczu i przegrali drugą. W drugiej nie grali stary mistrzowie — Deyna, Lato i Szarmach. Młodzi niechby się popisali, choć na pewno chcieli wypaść jak najlepiej. Wygrana 5:2 cieszy, ale do entuzjazmu (z uwagi na drugą połowę meczu) daleko. Bo gdzie następcy naszych gwiazd piłkarskich?

maj



# W 35 ROCZNICĘ POWSTANIA W GETCIE WARSZAWSKIM

Aleksander Rozenfeld

## Ja, ocalały

Adonai  
iść trzeba pomalutku na ten ostatni brzeg  
być nie wypaść z szeregu  
z ostatniej w życiu kolejki  
po śmierci  
wiem że nie jestem sam  
nie jestem jedyny do rozmowy z panem bogiem  
a te wszystkie uczynki zapomniane  
i tak zaufać muszę przedwiecznemu  
gdy mi pokaze moją kartę  
kartę z dwiema datami  
datami początku i końca świata  
mojego świata  
nie winię nikogo — trzymającego broń  
dającego rozkaz — feuer  
ciebie także boże nie winię  
bo gdzieżbym śmiał maluczki dumać nad twymi wyrokami  
ale powiedz panie — dobrze jestem winien — za długo żyłem  
a moja matka Ruth, Estera Rachel szmul i ciek  
jeszcze niczego nie zobaczyli nie widzieli słońca  
nie zdążyli zgrzeszyć nawet zbyt długim patrzeniem na chleb  
czemu oni co ci uczynili żeś ich także zabrał do siebie  
pełno dzieci we wszystkich kącikach świata  
jesli brakowało ci aniołów do niebieskich chorów  
czemuś zabrał żydowskie dzieci  
no a'e jesli taka woła twoja to przed śpiewem  
nakarm ich suto niech zasiadą za zastawionymi stołami  
niech się palą chanukowe świece niech śpiewają mazeltow  
pioną święte księgi mądrości świat stanął w ogniu

dziesięć kilometrów od Malkini  
jest takie miejsce o nazwie Treblinka  
dzisiaj byłoby to milionowe miasto  
gdyby wszyscy którzy tam umarli żyli i rozmnażali się  
jak pan bóg przykazał  
a jest to zaledwie mała kropka na mapie  
kropka pamięci

rozkwitam pamięcią szma izrael adonai elohenu  
adonai echod panie który gładzisz grzechy świata  
gwiazdo na ramieniu żydowskiego dziecka  
szesćoma promieniami strzałów w tył głowy  
wryłaś się w pamięć

w karnym szyku czwórkową kolumną idą do gazu  
tysiące tysięcy wargi cierpliwie szepeją  
szma izrael szma izrael panie izraela patrzysz na nas  
twój lud umiłowany karnie idzie na stracenie

a mazeltow a mazeltow dziś jest dzień wesela  
to tylko na co dzień serca mamy czerstwe niezłym  
stare bardzo bochny chleba a mazeltow wszystkiego dobrego  
pan młody pannie trzy ociera a jest to deszcz z uśmiechem  
pomieszany  
a potem wiele bólu i jeszcze więcej niepojęcia  
gdy młode weselne pary zagnano prosto do gazu  
dobry pan bog zabrał do siebie wszystkich młodych żydów  
i młode żydówki i tam śpiewał im mazeltow wiele szczęścia  
muzyka nieba nie kontrastowała ze strzałami karabinów  
maszynowych na ziemi po prostu muzyka nie docierała na ziemię  
a strzałów w niebie też nie było słychać

idzie stary pan z bródką otoczony małymi dziećmi  
w oczach ma łakę a śmierć w sercu  
nie może nic powiedzieć musi się uśmiechać

małe żydowskie dzieci były mądre  
małe żydowskie dzieci były ładne  
były bardzo ładne i mądre  
za warkocze i pejsy wciągnięto je do nieba  
nagie i chude i powstawały nowe modlitwy  
do pana boga esmanów moje dziecko mają kind moj rebionek  
ale to nie ten bog chociaż na kłamrze pasa miał napis  
gotł mit uns bog jest z nami który bog do kogo należał

i nagle ożył spokorniały lud strzałem na strzały  
odpowiedział  
i cały świat z emocji zbladł gdy na murze zwalonego domu  
rozkwitły kwiaty dwu sztandarów biel czerwien i niebieskość nieba  
żyje ja i żyje jeszcze wielu żydów  
bo zginął mordechaj anielewicz  
żyje ja bo za mnie ofiarował się Janusz Korczak  
żyje ja bo własnym ciałem zasłonił szwabski cekaem  
michał klepfisz który dzisiaj byłby laureatem  
nagrody nobla polski żyd z baretką orderu dla odważnych  
orderu virtuti militari  
żyje ja bo to za moje życie ofiarowano czterysta tysięcy  
i sześć milionów ludzkich istnień  
w biały dzień 1978 roku na muranowie stawkach i milej  
toczy się normalne życie powszedniej warszawy  
dzieci siedzą na ławkach żując gumę  
dorośli czytają treduwata  
a ja brnę po wertepach historii myśląc  
jaką tu modlitwę odszukać by okazała się skuteczna  
dla śmierci dla obumierania pamięci naszej  
wiednie drzewo pamięci liść po liściu spada  
śmietnik historii cierpliwy przejmie wszystkie brednie  
a ocalałych jest już tak niewiele że krzyk szepciem  
się staje błędnie i błaknie  
popioły w ziemię zapadły dzięki nim urodzaj  
a ja kadisz odmawiam mimo że sam jestem  
dziewięciu pobożnych z trudem odnaleźć można  
a ja kadisz odmawiam za śmierć naszej pamięci  
by z martwych powstała  
mądrości nasza sprawa by ożyła pamięć  
o tych co odeszli wbrew nam

## POLONIJNE SPOTKANIA W RFN (VI)

DOM piętrowy w Bochum, niedaleko uniwersytetu: ładny, zadbane, o zamkniętych ścianach. Obok garaż z dwoma samochodami, z tyłu — ogród z choinkami, które iluminuje się na Boże Narodzenie oraz oranżeria z piękną hodowlą kaktusów. Cisza, spokój, atmosfera kompletnej stabilizacji, posmak życiowego sukcesu.

Siedzimy w dużym salonie na parterze: Wanda Janczakowa, Wanda Gotowicka, doktor Apolinary Gotowicki, mąż drugiej Wandy a zięć pierwszej, ja, no i pies potężny, o łbie kwadratowym, którym, gdyby tak się dobrze rozpędził, przebiłby zapewne najgrubszą ścianę pokoju, oczywiście tę murywaną, a nie szklaną, wieloma metrami kwadratowymi powierzchnią wprowadzającą zieleni ogrodu do wnętrza. „Bez takiego psa tutaj żyć spokojnie nie można — informuje lekarz — bo złodziejstwo rozmnożyło się w Bochum niesłychanie. Rabusie to przeważnie ludzie młodzi, wyrzuceni z uniwersytetu i „pracujący” metodycznie. Naciskają dzwonek u drzwi wejściowych, a kiedy nikt nie reaguje, wybijają szyby i wynoszą, co wpadnie w ręce: dywany, kosztowności, jak kto ma — dzieła sztuki”.

Oglądamy stare i nowsze fotografie. Oto Edmund Osmańczyk na jakimś zebraniu polonijnym zaraz po wojnie: tak młody, że trudno go rozpoznać. Oto zebranie Związku Polaków w Niemczech, też w latach czterdziestych, w którym brał udział doktor Gotowicki i tacy znani działacze polonijni, jak Kubiak, Grajewski, Przybylski i Wesołowski. Oto kolorowe zdjęcie domku letniskowego Gotowickich nad Morzem Północnym, z garażem wzniesionym własnoręcznie, co gospodarze podkreślają z widoczną satysfakcją. „A to jestem ja w młodości”, wyjaśnia pani Janczakowa, referentka do spraw kobiet w Zarządzie Głównym „Zgody”. Aż się wierzycie nie chce, że kobieta o

wyrazistej dziś twarzy miała niegdyś oblicze okrągłe, pulchne. No tak, ale zdjęcie pochodzi sprzed drugiej wojny światowej, która niejednemu człowiekowi twarz odmieniła.

„A to jest nasz kawaler z Clechocinka”, mówi pani Gotowicka, wieloletnia

działaczka „Zgody”, wskazując na pozólką fotografię, która przedstawia wysokiego i wąsatego mężczyznę w siłę wieku, nieruchomo wpatzonego w obiektyw aparatu — może należącego do Jana Kordańskiego, właściciela świetnie niegdyś prosperującego atelier, kronikarza ludzkich słabości, ujawnianych przez kuracjuszy w kujawskim „badzie”.

„Tak, zartobliwie, nazywaliśmy czasami mojego ojca, Tomasza Wojcińskiego, po jego powrocie z Clechocinka, gdzie właśnie zrobił sobie to zdjęcie”, wyjaśnia pani Janczakowa, z którą trzy godziny temu wróciłem z Essen, gdzie gościłem na imieninowym zebraniu tamtejszego Koła Kobiet, podejmowany likierem hiszpańskim, ciastkami własnego wyrobu i kawą, ale przede wszystkim opiniami na temat Polski, RFN, na temat wyobrażeń niektórych naszych rodaków o rzekomo rajskim życiu w Niemczech Zachodnich. „Niemcy w Bochum zwali ojca inaczej: królem polskim”.

Tomasz Wojciński przywędrował do Bochum w 1889 roku. W rodzinnym, poznańskim Kąkolowie bieda była, więc ojciec późniejszego „króla polskiego” dał mu symbolicznego talara na

drogę, pobłogosławił i w lepszy świat wyprawił, razem z tysiącami innych wiejskich chłopaków, którzy w poszukiwaniu chleba opuszczali rozetrąną na części ojczyznę. Ale dał mu też chyba ten rodzic, o którym saga rodzinna niewiele informacji zawiera, coś

więcej: owo żarliwe przywiązanie do polskości, decydujące o człowieczym charakterze.

Kiedy więc siedemnastoletni kowal znalazł już pracę w kopalni „Prinz Regent”, zaraz zorganizował Towarzystwo św. Bronisławy, któremu miał przetrwać aż do 1947 roku. Z tej organizacji wyłonili się następnie koła śpiewacze, sportowe, młodzieżowe i dziecięce. A ze sprawdzał się Wojciński w robocie, Niemcy chcieli go awansować na pana majstra, oczywiście pod warunkiem germanizacji nazwiska. Mówili: „Twój rodzice mieszkałi w Niemczech (tj. w Wielkopolsce — uw. aut.), ty urodziłeś się w Niemczech, mieszkasz w Niemczech, a zatem jesteś Niemcem wzorcowym”. A Tomasz odpowiedział im takim pytaniem retorycznym: „Jeśli krowa urodzi się w stajni, czy przez to jest źrebkiem?” Dał mu więc spokój, majstrom nie uczynił, ale trzeba przyznać — zawsze szanowali go jako fachowca. Rzesza potrzebowała robotnika taniego i wydajnego, a właśnie Polacy spełniali te oczekiwania, tyrali po kilkanaście godzin na dobę w przekonaniu, że kopalnie i huty Nadrenii — Westfalii to tylko źródło zarobków, etap przejściowy w powrotnej drodze do kraju. I

może ta wiara w powrót bogaty dawała im siły do roboty nieludzkiej, byle pieniądze mnożące. Taki Michał Ignaciak, mąż Marianny zwanej dziś „ciocią Dudą”, potrafił pracować w jednej z hut Duisburga 36 godzin bez przerwy, od czasu do czasu tylko zasypiając na

Ireneusz J. Kamiński

## TOMASZ - KRÓL POLSKI...

stojąco — a potem jeszcze siedł na polską zabawę!

Wojciński miał charakter. Kiedy na uroczystości gwiazdkowej wpadła mu w oko panna Teodozja Adamska, krewna, jak się miało okazać, biskupa Adamskiego, zatrzymał ją siłą niemal w Bochum, choć przyjechała tutaj na krótko, do siostry spodziewającej się dziecka, a poza tym miała narzeczonego w kraju. Wojciński napisał stosowny list do kawalera, odesłał mu pierścionek zaręczynowy Teodozji i po czterech tygodniach od chwili poznania poprowadził dziewczę do ołtarza: 3 lutego 1900 roku. Jedenaście miesięcy później przyszło na świat pierwsze dziecko, syn oczywiście, a potem pięcioro następnych. Biologiczna potęga rodziny Wojcińskich rosła w domu oddalonym od dzisiejszej posiadłości Gotowickich zaledwie kilkadziesiąt metrów. Naturalnie Tomasz — król polski nadawał potomstwu imiona tylko królewskie: Mieczysława, Bolesława, Wandy (dwa razy), Kazimierza oraz

Dokończenie na str. 10

Kamena str. 3



# Kontroluje sklepy

Dokończenie ze str. 1

Oglądam zeszyt, w którym każdy pracownik musi pod odpowiednią datą wpisać ile czego kupił z wędlin. Na przykład wczoraj personel nabył około 20 kilogramów szynki i baleronu. Mnożę, dzielę, mniej więcej się zgadza w ogólnym rozliczeniu.

Trafiamy do magazynku stoiska z alkoholem. Ciasnota taka, że muszę wciągnąć brzuch i wstrzymać oddech, chcąc się przesunąć między stosami transporterów z wódką i winem. Dowiadujemy się, że konwojenci potrafią równiutko odważnikiem obciążyć dno w butelce, wódkę wypić, a butelkę wstać z powrotem do transportera. Jak się personel sklepu nie orientuje — płaci. Zdarza się też zamiast wódki woda, choć butelka i zakrętka nienaruszone, cuda czy co?

Stoisko alkoholowe bardzo dobrze zaopatrzone, szczególnie w importowane wina. Brak tylko spirytusu 95-procentowego, który widziałem na zapleczu. Zwracamy uwagę ekspedientce odpowiedzialnej za to stoisko. Niewiasta pracuje tutaj od niedawna, przeszła ze sklepu piekarniczego, wykazuje sporą nerwowość, zaczyna popłakiwać.

— Panowie, gdybym ja miała w magazynie parę butelek tego spirytusu, to moglibyście podejrzewać, że chowam dla siebie i znajomych, ale ja mam kilkanaście transporterów, tylko dostać się do nich nie mogę, tak pozostawiali!

Robię próbę, faktycznie do spirytusu przecisnąć się trudno, choć nie tak całkiem może... W każdym razie usiłujemy pocieszyć rozżaloną kobietę, a pan Bolesław opowiada mi, w jaki sposób można odkręcić metalowy korek z butelki, nie naruszając go, i zakręcić na powrót. W swoim życiu kontrolera społecznego nie takie już numery widział.

Wracamy do pokoju kierowniczką, gdzie pan Henryk przystępuje do czynności urzędowych. Wyciąga ankietę określającą minimum asortymentowe, które sklep powinien mieć w okresie „wzmożonych zakupów przedświątecznych”. Pan Henryk pyta, a kierowniczka odpowiada:

- Makaron bezjajeczny?
- Jest.
- Makaron jednojajeczny?
- Jest.
- Makaron dwujajeczny?
- Jest.
- Makaron czterojajeczny?
- Jest.

Musimy raczej wierzyć na słowo kierownicze. Gdyby bowiem chciał to wszystko osobiście sprawdzić, potrzebna by dwa dni na ten sklep. Bądź co bądź, okazuje się, że koncentratu pomidorowego nie ma, ostatnio był w zeszłym tygodniu w symbolicznych ilościach, a przedtem w styczniu, także w symbolicznych ilościach. Kierowniczka słyszała, że koncentrat pomidorowy dzielili się centralnie, bo pomidory miały zarazę, nie nadawały się na przetwory i produkcja koncentratu bardzo spadła.

Kontrola przebiega w pokojowej atmosferze i kierowniczka na koniec zapytuje:

— Skoro już się kontrola zakończyła, to może by panowie chcieli coś kupić?

Spoglądamy sobie wzajemnie głęboko w oczy. A ja przeżywam, krótkie co prawda, chwile strasznej rozterki wewnętrznej, bo jeśli moje możliwości aprowizacji świątecznej w ostatniej chwili okażą się nierealne?... Wobec przedłużającego się milczenia kierowniczka dyskretnie opuszcza pokój, a pan Henryk mówi:

— Ona już się przedtem pytała, czy chcemy coś kupić. Może panu faktycznie czegoś potrzeba na święta, panie redaktorze?

— Czy pan sądzi, że ja bym czekał dotąd z wędliną świąteczną — odpowiadam bohaterko. I proszę kierowniczkę, która właśnie weszła, o dwa słoiki dżemu, po 30 deko „solano” i bryndzy. Wchodzimy do sklepu, otrzymujemy, co chciałem, płacę, opuszczam

my sklep. Na odchodnym obrzucam spojrzeniem półki z alkoholem, spirytusu 95-procentowego nie ma nadal.

☆

W niedużym „samie” osiedlowym (czyżby na nasz widok?) personel wynosi z zaplecza koszyk z kakao i twardą czekoladą, stawia to wszystko na wierzchu przy kasie. Klientów niewiele, ale przy kakao i czekoladzie zaczyna się mały szumek. Jeszcze jako klient ci panowie Bolesław i Henryk nabywają po paczusce kakao, a ja twardą czekoladę jugosłowiańską i stołek albańskiej papryki konserwowanej, która stoi na półkach.

Chodzimy po zapleczu, już jako kontrolerzy, i pan Henryk zauważa brak gaśnic przeciwpożarowych, a w chłodni okazała szynkę.

— To jest moja prywatna szynka, gdzie indziej kupiona, tylko tutaj ją trzymam. My w ogóle nie dostajemy wędliny — mówi kierowniczka i spogląda na swoją szynkę z niepokojem.

Pan Henryk życzy sobie faktury ostatnich dostaw, okazuje się że wczoraj sklep otrzymał 30 kilogramów szynki, 40 — kielbasy zwyczajnej, 50 —

należy wywieszkać na ten temat w drzwiach sklepu umieszczać, żeby klienti wiedzieli, że wędlina przyszła.

Gdy wychodzimy, po kakao już śladu nie ma, a czekolady resztki. Pocięliśmy się, że gdyby nie nasza obecność, to może by kakao i czekolada w ogóle nie znalazły się na stoisku.

☆

Wzorcowy sklep chemiczny w ogóle „nie prowadzi” pasty do butów. Obok jest reprezentacyjny sklep perfumeryjno-drogerijny, też nie prowadzi, lecz postanawiamy odbyć kontrolę.

Krętymi wąskimi schodami udajemy się do magazynu w piwnicy. Pan Henryk mówi tak:

— Niech nam pani od razu powie, których towarów, co znajdują się w magazynie, brak w sklepie.

Kierowniczka, postawna niewiasta, pierwszorzędnie utrzymana pani w wieku, tak na oko, średnim, niezbyt skłonna do odpowiedzi. Pan Bolesław szeptałem do mnie:

— To jest dopiero kierowniczka, co? Pełną gębą!

Pan Henryk znalazł spore pudełko i przy pomocy pana Bolesława wybie-



Sklepy są na ogół bardzo podobne. Ten na przykład znajduje się w... Trembecki

kminkowej. Spoglądamy na kierowniczkę z niemałą przysługą.

— To była zupełnie niespodziewana dostawa, nikt o niej nie uprzedził, wszystko rzuciliśmy na sklep i migiem się rozeszło — zapewnia kierowniczka. — Tylko jedną szynkę odłożyłam dla siebie.

— Ale jak pani odłożyła dla siebie jedną szynkę, trzeba było wpisać do zeszyciku — powiada pan Henryk i wyciąga zamiast ankiety formularz protokołu, ochrzczony, nie wiedząc dlaczego, straszną nazwą KS, czyli „kaes”, niczym kara śmierci w żargonie prawniczym. — I my tę szynkę możemy kazać zaraz rzucić na sklep — dodaje groźnie.

Kierowniczka błędnie, ale wchodzi jakaś ekspedientka i pan Henryk powiada:

— A to pani Marysia. Pani Marysiu, bardzo proszę, niech mi pani kupi papierozy.

Pani Marysia wychodzi i kierowniczka wychodzi, a pan Henryk pyta mnie i pana Bolesława:

— Co robimy z tą szynką, wpisujemy do protokołu?

— Jedną miała prawo sobie zostawić, nie sprawdzimy teraz, czy resztę sprzedała — macham ręką humanitarnie, bo sytuacja wydaje mi się groteskowa.

Sprawa kakao i czekolady wyjaśnia się w ten sposób, że dostawa była zaledwie przed godziną i nie zdążyły „wyrzucić na sklep”. Przeciur pomidorowego, oczywiście, brak. Sądę oczyszczoną kierowniczka zamawia, ale nie otrzymuje.

Protokół „kaes” trzeba spisać tak czy owak. Pan Bolesław pisze, a pan Henryk dyktuje. Ze gaśnic nie ma w sklepie, hydrant niesprawny, a jak przychodzi niespodziewanie wędlina, to

rają po jednym artykule kosmetycznym do sprawdzenia. Wreszcie wychodzimy na górę do maleńkiego pokoju zaplecza sklepu.

Wykryliśmy dziewięć rodzajów kosmetyków przetrzymywanych na zapleczu, głównie importowanych. Pan Henryk wciąga to wszystko do protokołu. Pan Bolesław usiadł zbyt blisko kaloryferów i oczy mu się kleją. Ja tymczasem rozmawiam z kierowniczką:

— Kremu „Kaloderma” brak w sklepie, jest w magazynie, dlaczego?

— Bo ja go zostawiłam dla siebie, coś poradzę, że mam uczulenie i tylko ten krem mi pomaga. Sama go używam.

— Na ile pani starcza jedno pudełko?

— Gdzieś na dwa tygodnie.

— Trudno mi zrozumieć taką szczerłość. Pani się zbytnio nie przejmuje kontrolą?

— Ja się przejmuje, jestem niedaleko przed emeryturą, więc się tym bardzo interesuję, ale co mam zrobić?

— Nie wygląda pani na kobietę „niedaleko przed emeryturą” — stwierdzam zgodnie z prawdą. I odczytuję etykietę kremu „Kaloderma”: „Krem do pielęgnacji skóry ze środkiem nawilżającym jest szybko wchłaniany przez skórę, nadając jej przy tym gładkość i delikatność. Po umyciu i wysuszeniu ciała niewielką ilość kremu wetrzeć w skórę. Producent Kurt Schwarzkopf, Austria. Cena 120 zł”. Obliczam, że zapas będący w posiadaniu sklepu starczy kierowniczce na trzy miesiące. Do emerytury — nie.

Na odchodnym dowiaduję się od kierowniczką, że przed wojną był tutaj prywatny sklep kosmetyczny pod nazwą „Irys”.

Zrobiło się już dosyć późno i zastanawiamy się, czy kontynuować kontrolę. Pan Henryk zauważa, że powinniśmy przynajmniej pojechać do peryferyjnego, dużego „samu”. Jedziemy. Zresztą moim maluchem, bo komisja auta nie ma. Po drodze dowiadujemy się, że praca kontrolera społecznego nie bardzo wdzięczna. Bo to jest praca — poza normalnymi obowiązkami służbowymi. Trzeba się tłuc po dziurach, raz pan Bolesław zastał na zapleczu sklepu kierowniczkę pijącą wódkę z jakimś typem. „Wódkę się pije” — powiedział tylko, a facet mu chlust szklanką w twarz. Bardzo niewdzięczna praca. Żeby przyciągnąć innych, trzeba by kontrolerów częściej odznaczać zasłużonym dla miasta, do pociągów przyjaźni zapraszać...

Peryferyjny „sam” choć duży i nowoczesny, gorzej zaopatrzone niż śródmiejski. Sera białego tłustego niedostatek, chudego nadmiar. Ogórki konserwowe tylko w dużych puszkach blaszanych, trzeba otwierać i przeważać na życzenie klientów. Kierowniczka wyjaśnia, że miasto pod względem zaopatrzenia jest podzielone na rejony. Gdy towaru mało, nie daje się równomiernie wszystkim rejonom, lecz tylko niektórym, inne zostawiając osierocone.

W sklepie akurat sprzedają pomarańcze i pieczone kurczaki z rożna, więc tłumek klientów.

Rozmawiając, kręcimy się z kierowniczką po chłodniach, wszędzie wzorowy porządek, żadnych towarów odłożonych, których by nie było w sklepie.

— Może tu jeszcze panowie zajrzyć, może tam — powiada kierowniczka i otwiera kolejne drzwi. — Ja za długo w handlu pracuję i za dobrze zarabiam, żeby podpaść przez kilogram kielbasy. No i mniej więcej zna się kontrolerów z widzenia, jak się dwadzieścia lat w handlu pracuje.

— A nas pani zna? — zapytuję.

— Tego pana jako klienta sobie przypominam — wskazuje na pana Henryka. — Ale jako kontrolera, to nie.

Kierowniczka jest członkiem PZPR, niedawno otrzymała imienny list pochwalny od Edwarda Gierka. Sklepowi trudno coś zarzucić. Jak któraś dziewczyna z personelu bierze produkty na śniadanie, to płaci w kasie, a paragon załącza do specjalnej książki, gdzie wpisuje zakup. Praca ciężka, trzeba pilnować, żeby pijacy wina nie podkradali. W niedzieli nieraz się przyjeżdża sprawdzić, a w chłodni nie jest zepsuta, bo przez dobę nie jeden towar może podgnieć...

☆

Na dworze już ciemno, sypie śnieg. Pan Henryk mieszka niedaleko. Małego sklepu w okolicach dworca dziś nie skontrolujemy, ale pan Bolesław prosi, żeby go tam podwieźć, bo on tam blisko mieszka. Okazuje się, że miałem niepotrzebne skrupuły ze sklepem w pobliżu mojego bloku...

☆

W roku ubiegłym w woj. lubelskim przeprowadzono 5127 kontroli społecznych, głównie w handlu i gastronomii. Z tego w 3469 przypadkach stwierdzono nieprawidłowości. Skierowano 3238 wniosków usprawniających do jednostek nadzórnych, 102 wnioski dyscyplinarne, 7 — do prokuratury i MO, 82 — na kolegia, 38 — do jednostek sanitarno-epidemiologicznych.

II Krajowa Konferencja PZPR kładła nacisk na wzmożenie i usprawnienie kontroli społecznej. Nie rezygnując z dotychczasowych form tej kontroli, stawia się sprawę na nowo. 20 marca Rada Państwa rozpatrywała projekty aktów prawnych związanych z powołaniem komisji kontroli społecznej przy wojewódzkich radach narodowych. Idzie tu przede wszystkim o wzmożenie funkcji koordynacyjnych i zapewnienie realizacji wniosków pokontrolnych. Idzie po prostu o głębszą kontrolę społeczną, o jej skuteczność.

Maciej Podgóski



naszym stol i po naszymu niech się nazywa, kiedy nie chcą wspólnej — kłarowali w Krasnymstawie.

— Niech papier pogodzi, kiedy nie może dotre słowo — zawyrokowali przez telefon ówczesny przewodniczący PPRN Wiesław Moskaluk i pierwszy sekretarz KP Stanisław Jankowski. — Niech geodezja sprawdzi, na czym gruncie szkoła stoi, nareszcie będzie koniec sporu.

Ci, którym przewodził rolnik Jan Pasik, okupowali gabinet przewodniczącego Prezydium PRN, tamci — z kowalem Bronisławem Skubiszem — siedzieli u sekretarza Komitetu Powiatowego. A między oba budynkami była nieduża przestrzeń, obaj gospodarze namawiali swoich gości, aby poszli sobie na pół drogi i w zgodzie pojechali do domów,

Nikt nie pójdzie za tor nawet po zapakci, dopóki co chodzić się będzie po wszystko do Krasnegostawu, ale to tylko krótko, tylko kilka dni! Majdaniarze przyjdą do Krupca kupować, bo tam będzie lepsze zaopatrzenie, no i zwycięstwo potwierdzi już bezapelacyjnie to, że na półkach będą sobie stały kolorowe butelki. Nie tam żadne wino, ale najprawdziwsza, wysokoprocentowa pasza treściwa. Jak przyjdzie pragnienie, to gdzie po żytniówkę poleca: do miasta, czy okornie szeleścić będą papierkami przed ladą u tych, którym żalowali? Ale niech sobie kupują ci, którzy dobrzy, co nikomu się nie narazili, ale kto pyskował, niech się nie pokazuje, bo nie kupił!

Zbiegli się więc z tej zawziętości wszyscy, którym honor Krupca miły, gardłowali — a sprawiedliwością i usamodzielnieniem. Najgłośniej wrzeszczały zbolale wdowy, bo godności wsi musiały bronić za siebie i za tych swoich

ujrzy. Już ci majdaniarze muszą mieć w tym lepszy interes od naszego, inaczej by o tym wspólnym czynie tyle nie gadali! Im nie podoba się nawet, że PGR z Białki marnuje swoje siano na trzydziestu hektarach łąk, że od jesieni w kopach wymokło i teraz nadaje się już tylko na ściółkę. Chcieliby dzierżawić, albo kupować na pniu, kiedy trawa jeszcze zielona. Trzeba się zastanowić czy znowu wejść z tymi zza toru w spółkę!

U nas ludzie — słyszę znów w Wincentowie — poszli do przodu, oho, jak poszli do przodu. Dziś tutaj pany, a tam, jak była wiocha zabita dechami, tak i została, chociaż mają się za coś lepszego. Wtedy, kiedy oni chcieli swoją tabliczkę na szkole i swoją pieczęć przybijać, to u nas ludzie krzyczeli, żeby na Krupiec spada jakaś kara boża. Ale to wcale nie zaczęło się od tej tabliczki na szkole, od tego sklepu. Już przed pierwszą wojną nikt

do dziś. W Wincentowie ludzie są dla siebie dobrzy, nie kłamią, prawda to jest największa, a tam ktoś zobaczy, że sąsiad utknął samochodem w błocie, nie zaczepi orczyka, nie wyciągnie go, ale jeszcze powie: kupił sobie fiata, niech siedzi w środku, zaczeka aż droga wyschnie. To samo w Bzitem. Duma u nich jakaś dziwna, szlachectwo jakieś, czy co. Chlubią się, że u nich dziecię były najdłużej, bo jeszcze w czterdziestym czwartym. A prawda licha, bo dziedzica Mazurka rozkupili przed wojną Żydzi i na reformę niewiele zostało. Gospodarz z Bzitem może jechać furmanką, ale ani z Krupca, ani z Wincentowa, znikąd nikogo nie zabierze, nawet gdyby ten padał ze zmęczenia. A u nas ludzie Inni, żeby tylko tak nie pili, żeby tyc melin z wódką tyle nie było. Dobrzy są, do roboty jeżdżą i na polu robią co trzeba, i w oborze. A tę drogę to chcemy zrobić: z Krupcem, albo bez Krupca! Bo jest potrzebna oba

# Oj, nie lubią się oni, nie lubią...

między obu gabinetami pracowała nieustannie gorąca linia. Spór rozstrzygnięli w końcu geodeci. Tak, wincentowskie pola sięgają za tor kolejowy, granica wsi znajduje się kilkadziesiąt metrów dalej, a więc budynek szkoły stoi jeszcze w Wincentowie, a nie, jak twierdzą ci, co rozpoczęli sąsiedzką waśń — już w Krupcu. Lakiernik miał więc zarobek. Do Wincentowa triumfalnie została zawieszona nowa tablica. Każdy, kto chciał, mógł ją obejrzyć, ale z zawieszeniem zwlekano, nie chciano gwoździ wbijać przed nocą, lepiej zaczekać dnia otwarcia. Nikt jej w ciemności nie zdejmie. Zjadą do Wincentowa goście — razem będzie można nacieszyć oczy. Przyjdą sąsiedzi z Krupca — niech im z gniewu gały pociemnieją. Nie potrafili znieść wspólnej nazwy, to ich imienia nad wejściowymi drzwiami nie będzie wcale: wiatr zbiera, kto za teje burze! Sprawiedliwość — ona jest ze sprawiedliwym! Ale nie przyszli mieszkańcy Krupca zobaczyć przecięcia wstęgi, nie chcieli się razem napić, ażeby oblać wspólne dzieło i uzmocnić w ten sposób jego fundamenty. A szkoda, bo zwycięstwo już tak nie smakowało, było nawet trochę cierpkie, nie można było widzieć min przegranych.

Tylko dzieci zdawały się nie przejmować swarami rodziców. Zadeklamowały przewidziane programem wierszyki i dziękczynne formułki, a od następnego dnia cieszyły się pachnącymi i jasnymi izbami szkoły, którą przedtem tak zgodnie przysposobili ich rodziciele, starsi bracia i siostry. Zresztą, właśnie przez te dzieci, przez następne roczniki uczniów, wielka rana, którą sami sobie zadali... Z tego samego spornego budynku, przed którym stoję, stąd właśnie zaczęło się nawoływanie do... Wstrzymajmy się jednak. Za wczesnie o tym teraz mówić. Musi jeszcze sporo wody przepłynąć pobliską Kasjanką i Wieprzem. Przecież ledwie przycichła sprawa szkoły na szkole, a już poruszył wszystkich po krupieckiej stronie toru wincentowski sklep. Jeszcze bardziej oddalił od tych majdanusów, a wokół Pasika zjednoczył cały Krupiec. Pod jego przywództwo oddały się nadzwyczaj liczne wdowy tej wsi, podporządkował się każdy, komu honor Krupca miły. Oj, nie mogą przepuścić takiej zniewagi! W gardzie stwardniałaby im każda grudka cukru, każdy kawałek sera zakupiony u tych dziadów zza toru. Raz ze skargą do sąłtysa przysła Berezowa, drugi raz inna! I znowu, jakaś zniewaga, która krwi wymaga! Ktoś po pijanemu powiedział kobietom z Krupca:

— Wolać na nas — dziady z Wincentowa, bo u was lepsza ziemia! Ale do dziadów przychodźcie kupować, ha-haha!

Zawsze wspólny był los obu wiosek, bo obie małe. Miały nawet kiedyś wspólnego sąłtysa. I teraz by się przydał wspólny, bo za swój trud chociaż tego procentu z podatku by trochę nabierał. Ale po takiej obrazie, po takim sponiewieraniu krupieckiego honoru?

nieboszczyków, którym upomnieć się już za dobrym imieniem wsi ich dziadków i pradziadków nie było dane. Wysuszył Siemko trzydzieści tysięcy cegieł, niech pożyczyc, a my mu wnet zrobimy nowe. Jest przy skarpie ziemia niczyja? Jest i można tam jutro iść całą wsią, rozpocząć wielki społeczny czyn, uczcić w ten sposób coś, co najbliższ jest w kalendarzu i zalewać fundamenty. Są murarze, są też ludzie chętni do łopaty i zwózki piasku. Ile na to trzeba? Kilka dni wystarczy.

I stanął budynek nieduży, niemały, lecz w sam raz. Ale nie można było robić otwarcia, bo bez towaru w środku triumf nikogo tak nie zadowoli, jak z pełnymi półkami. Hej, hej do Krasnegostawu! Hej, hej do zarządu Gminnej Spółdzielni! Dajcie towar, bo sklep pusty, a ludziom się to nie podoba! Jaki sklep, skąd wziął się w Krupcu sklep? Przecież dopiero włożyliśmy duże pieniądze na remont punktu sprzedaży w Wincentowie! To taki społeczny zryw, taki czyn ma się zmarnować? Przyjeździecie, zobaczcie! Sprzedawczynię już wybrałiśmy, dajcie jej tylko towar, a społeczna inicjatywa zostanie wynagrodzona — szantażowali przebiegle i przymilnie. I doczekali się uznania, bo wnet ciężarówka zaczęła wozić różne specjalne i produkty potrzebne na co dzień.

Nade wszystko jednak zapamiętali dzień, w którym pierwsi spragnieni majdaniarze, no, te dziady zza toru, skradali się po żytniówkę. O, był to wielki dzień i Władysław Jarosz, jeden z najstarszych mieszkańców Krupca, powinien to w swojej kronikarskiej pamięci dobrze przechowywać, a i krewnemu nieboszczyka Jana, no, radnemu gminnemu Stasiowi Pasikowi, do głowy wkładać, aby nie zapomniał.

Henryk Bereza, który sekretarzuje podstawowej organizacji partyjnej, nie chce pamiętać zniewagi, jakiej doznała jego matka i chwala tych z Wincentowa, że dobrze gospodarzą, że z każdej chałupy ktoś od nich pracuje w cukrowni, albo w innej fabryce, że pomalowane budynki, że za torem potrawią się dogadać najlepiej, kiedy chodzi o dobre, a w Krupcu tylko wtedy, gdy trzeba zrobić na złość majdaniarzom!

Czy taki, który sprzyja majdaniarzom mógł ostać się na liście kandydatów na radnych?

Ci z Wincentowa są nienasycony. Drogi im — słyszę w Krupcu — się zachciało, eleganckiej! Chcą, aby razem z nimi, żeby tak, jak przed dwudziestu laty przy wspólnej szkole. Pewnie, półtora kilometra tylko trzeba, ażeby połączyć tę, która idzie przez Wincentów, ze Stężyca. Tylko tyle. To prawda, na tym kawałku można w piachu ugrzęznąć z furą siana po same osie, kiedy pada, można potopić konie. A tam są krupieckie łąki. Tamtędy muszą rolnicy wozić buraki do cukrowni, wszystkim najkrócej byłoby tą drogą. Obecnie oko z Lublina i Krasnegostawu już nieważni nie zobaczy, ale współpracy chyba również w najbliższym czasie nie

się nie żenił z dziewczyną z Krupca, żaden chłopak nie przysłał swatów do Wincentowa. Jeno po ostatniej wojnie nasz Antoni Skubisz ożenił się z wdową po Nosalu, a krótko po nim brat Paweł z jej córką i tak się rodzina założyła. U nas ludzie niepamiętliwi, o, młodzi już z nas się śmieją i sami tę granicę przeorują. Zenek Domański ożenił się z Terenią Piekarską, siostrzenicą pani Kuźnickiej, sklepowej w Krupcu. Teresa prowadzi

wioskę i cukrowni jest konieczna. Teraz zwlekają, ale jeździć na łąki będą chcieli. U nas, jak ktoś sobie robić, to robić, wszyscy idą i czyn jest taki, że tylko patrzeć. I mężczyźni, i kobiety z Marią Drożdzielową na czele.

Był tu u nas człowiek, który dużo zmienił. Nazywa się Henryk Flis, a jego żona Teresa. Zaczęli nauczanie w naszej wspólnej szkole i on — kierownik, powiedział: ja doprowadzę, że obie wsie pogodzą. I ludzi w komitecie ro-



Fot. L. Leo

sklep u nas, a jej ciocia sprzedaje w tym, co to powstał z tej złości na nas. Może teraz zgoda będzie większa, bo obie kobiety z rodziny i są za prawdą? Ale tak, to żadnego małżeństwa w dwudziestym wieku nikt nie pamięta, bo tamci mają się za coś lepszego, chociaż u nas teraz na gorszej ziemi lepsza gospodarka. U nas mówi się: było, u nich: beyyyloo. U nas człowiek widzi innego w potrzebie — pomoże, u nich nawet między wioskami nie ma zgody, jeden drugiemu zazdrości. Od lat kłóca się Paweł Czerniak ze Stanisławem Kuźnickim o dziesięć centymetrów gruntu, o dotykające się płoty i zabudowania. Ten ostatni szedł ku zgodzie, jeździł tam sekretarz Tadeusz Fedorowicz, już mieli zamieniać swoje splachetki ziemi, żeby być osobno, ale Czerniak powiedział: nie, bo coś mu się wydało, że o dziesięć centymetrów ziemi będzie pokrzywdzony. Tyle zachodu, tyle dobrej woli sekretarz prezydium gromadzkiej rady wykazał, no, ten Mietek Romaniuk, i z powiatu przyjeżdżali, ale sądzenie i złe sąsiedztwo pozostało

działeńskim jednoczył, i przy domu ludowym zabawy były wspólne. Dużo, bardzo dużo u nas zrobił. Tak jakos w ludziach zelzało, a najwięcej przez dzieci Flisów, ale one dorosły, są w Krasnymstawie. Nie jest źle, ani prokuratura, ani milicja, ani sąd z nami roboty nie mieli. Do tego nigdy nie doszło. Tylko, że coś jest na dnie, coś takiego, że ani się żenić między sobą, ani na pogrzeby chodzić. Ale z tą drogą, to by warto, nawet gdyby trzeba było znowu zmieni tabliczkę na szkole i dopisać tę nazwę zza torów. Nasz sekretarz peope Marian Wędzina dogadać się noze z Henrykiem Berezą, bo tamten widzi nas sprawiedliwie i nowi sąłtysi mogą dołączyć. Młodzi nie do siebie nie mają, tylko żeby to coś, co w środku się gdzieś czai, ustąpiło. Ale to samo nie chce odejść, chyba żeby razem tę drogę...

Tadeusz Jasiński



# Jest pomysł!

**G**DYBY jeszcze zaśpiewali o koniach, rumakach stalowych, to pewnie by pękło moje stare, zetempowskie serce. Ale i tak było o Warszawie, tej mojej Warszawie, o mostach, co jeden na lewo a drugi na prawo, o murach, co się pną do góry...

Szezerze mówią, dopiero podczas tej skromnej uroczystości gdy uczniowie Zespołu Szkół Geodezyjno-Drogowych w Lublinie zaśpiewali dawne piosenki, przypomniało mi się, że niedawno minęła trzydziesta rocznica powstania Służby Polsce. No i uświadomiono mi, że niebawem minie dwadzieścia lat Ochotniczych Hufców Pracy, które powstały w miejsce SP.

Rocznice rocznicami, kontynuacja kontynuacją, ale podczas spotkania w tej szkole mówiło się przede wszystkim o sprawie, która dotąd nie ma raczej precedensu Mieczysław Kurzatkowski, główny specjalista z powstającego Muzeum Wsi Lubelskiej, wyznał, iż nie wszyscy w Muzeum wykazali prężny entuzjazm, gdy się dowiedzieli, że przyjdzie pracować młodzież szkolna z OHP. Ale robota została wykonana solidnie i teraz Muzeum czeka na nich.

Doświadczenia OHP bywają rozmaite. Czasem młodzież widzi, że się ją

organizuje do prac niemal szarych, które znacznie krócej, i z powodzeniem znacznie większym, mógłby wykonać ciężki sprzęt. Jeszcze gorzej, gdy młodzież kopie i porządkuje, a potem inni przychodzą, zasypują i dewastują.

Tutaj nie było tego. Prace hufców z Zespołu Szkół Geodezyjno-Drogowych trwały na terenie Muzeum cały zeszły rok i będą kontynuowane w tym roku. Akurat tak się złożyło, że przygotowawcze zawodowe, jakie otrzymują uczniowie w swojej szkole, mogło być z pożytkiem wykorzystane.

Zajmowali się więc wytyczaniem działek budowlanych pod przyszłe obiekty, wyznaczaniem punktów zalążenia osi dróg i ścieżek, co przy okazji stało się tematem niejednej pracy maturalno-dyplomowej. Pomagali przy montażu i czyszczeniu obiektów muzealnych. Ale nie ma też powodów do wstydu, że wykonali „czarną robotę”, dla której trudno znaleźć wykonawców — porządkowanie terenu, karczowanie zbędnych drzew i krzewów, demontaż starych ogrodzeń i nie-żytecznych budynków.

Łączna wartość prac wyniosła 217 546 złotych. Tutaj nie było lipy, niektórzy uczniowie potrafili zarobić do sześciu tysięcy miesięcznie, aczkolwiek dużą część robót wykonali w czynnie społecz-



Fot. J. Kołodziejczyk

nym. Szkolna komenda OHP otrzymała za te prace Medal Edukacji Narodowej. Muzeum zakupiło dla szkoły telewizor.

Jest pierwszorzędnym pomysłem związane z młodzieżą OHP-owskiej z jednej szkoły z jednym konkretnym obiektem. Pracujący śledzą efekty swojej roboty, widzą jej sens. Oraz sens jej kontynuacji. No i nie ma potrzeby wstydu się pieniędzy uczciwie zarobionych.

Edward Krawczyk, dyrektor szkoły, powiada, że jest to dobry sposób na wychowanie przez pracę, a ponadto na bezpośredni kontakt z kulturą i wsią.

Tego kontaktu ze wsią i krajobrazem rodzinnym coraz bardziej potrzeba dzieciom miejskim, żeby nie myślały, iż jajka się robi w fabryce, a na góry się wchodzi po drabinie.

MP

## W PRZEDSZKOLU LEKTUR

Zygmunt Mikulski

**M**AMUSIU, daj mi za dużo konfitur” — mówi dziecko, a dorośli z punktu widzenia swoich kategorii widzą w tym śmieszność, a nawet o pewnym zabarwieniu surrealistycznym. I mają rację. Ale całkiem realistyczną, a nie surrealistyczną rację ma również dziecko. Jak wiemy, jest przysięgłym pozeraczem łakoci. Kiedykolwiek dorwało się do porcji konfitur odpowiadającej jego wymaganiom, słysząc od matki, że „to za dużo”. Ale chce właśnie tyle, a nie mniej, na ile go dzi się dietetyka zaprezentowana przez rodzicielkę, więc używa zaszywanego określenia „za dużo”. Chce się przecież porozumieć z dorosłymi ich językiem. To dorośli są w błędzie ilość konfitur odpowiadająca apetytowi uznając za nieodpowiednią.

Jest ćwiczenie inteligencji polegające na tym, by dziecko dopowiedziało brakujący wyraz w ułyszonym zdaniu. Zdanie brzmi: „wódz wydaje rozkazy, a żołnierz je...”. Tu pada nieoczekiwana odpowiedź: „zrazy”. Dopiero po pewnym czasie orientujemy się, że wszystko w porządku, a nawet lepiej. Bo porządek świata oparty na takim podziale zajęć w wojsku najskuteczniej eliminuje ewentualność konfliktów zbrojnych między narodami, a z pewnością skuteczniej niż dorosłych debaty i konferencje. W dodatku prozaične „wykonuje” psuje rytm frazy, uboży ją stylistycznie, nie spełnia wymagań estetycznych.

Wyobraźnia dziecka. Mówimy tak z zachwytem i tęsknią do czasów kiedy każdy z nas był poetą. W rzeczywistości niczego takiego nie ma. Jak istnieje — użyjmy porównania — rzeczywistość schizofreników niejednokrotnie owocująca dokonaniem malarzkimi na znacznym poziomie artystycznym, tak istnieje całkiem realistyczny, całkiem przedmiotowy, tylko inaczej widziany świat dziecka. Dziecko nie myśli o sobie: „oto jestem poetą, oby tu jak najpóźniej wydorosnąć”. Dziecko obserwuje i to, co widzi, stara się zmieścić w kategorii już mu dostępne, ale też nieustannie zmuszane do powiększania swojej pojemności. Zgoda, jest to piękne widzenie. Ale takim — w znaczeniu: osobliwe, rzadkie — okazuje się nam ex post, z pozycji wieku dorosłego. Z pozycji dziecka jest ono też piękne, ale w znaczeniu: naturalne, codzienne, zwykłe. Dziecko jest zachwycone patrząc na świat. Tylko tego zachwyty bynajmniej nie uznaje za swój przywilej. Uznaje za stan najzwyklejszy, jedyny odpowiedni.

Literatura dziecięca. Erzechwa powiedział, że „dla dzieci trzeba pisać tak, jak dla dorosłych, tylko lepiej”. Oprócz dowcipnego aforyzmu coś w tym jest. Oczywiście tego „lepiej” nie będziemy traktować w znaczeniu dosłownym, bo wtedy okaże się, że „Tańcowała igła z nitką” to utwór lepszy niż „Czerwone i czarne”, ale „lepiej” zostało użyte w

znaczeniu: świeżo, z potrzebą przetarcia okularów. Tu się zgodzimy. Zgodziliśmy się również na: naiwnie w tym znaczeniu, w którym naiwność nie jest zagapieniem się na świat jak na malowane wrota, ale dyspozycją zdumienia, młodości oka, jaka jest własnością wszystkich prawdziwych poetów, bez względu na ich wiek.

Chwila dla dziecka to coś, co w toku dnia dzisiejszego schodzi na dalszy plan. Często jako dorośli nie mamy czasu na książkę dla siebie. Więc tu byłby potrzebny jakiś alarm, a przynajmniej alert w imię humanizmu. Jeden z najlepszych znawców przedmiotu i serdeczny hobbista tematu, niezjący już profesor literatury porównawczej College de France i Columbia University, członek Akademii Francuskiej, Paul Hazard, pisze: „Można lekczyć literaturę dla dzieci — pod warunkiem, że się uzna za rzecz niegodną uwagi sposób kształtowania się i trwania narodowego ducha”. Mamy i my swoje, sarmackie, w tym przedmiocie powiedzenie o takich Rzeczpospolitych jakie będzie młodych pokoleń kształcenie. Ale jeśli chodzi o wiek zaledwie kilku lat, nie może to być pedagogia z katedry. Tym bardziej w tym wieku. Dlaczego? Dlatego, że pod względem pracowitości dziecko... wyprzedza dorosłych. Irena Słońska w swym znakomitym dziele „Dzieci i książki” powiada: „Ktoś, kto umie dobrze obserwować dzieci, powiedział, że dziecko jest największym pracownikiem na kuli ziemskiej. W ciągu pierwszych lat życia musi nauczyć się patrzeć, słuchać, poruszać, musi poznać setki rzeczy i zjawisk, opanować mnóstwo słów”. Tak, książka — nawet taka jak „Ania z Zielonego Wzgórza”, „Serce”, „Robinson Kruzo” — musi pokornie przybrać pozycję partnera, a nie mentora podającego swoje apodyktyczne tezy. Tym bardziej, że dziecko ma swoją wewnętrzną, czytelniczą amplifikatornię. W jednym z wierszyków Konopnickiej istnieje dwuwiersz:

*Jestem płama na podłodze,  
Siedzę tutaj mocno srodze.*

Co robi dziecko? Jako ostatnie wyrazy dwuwiersza ma dwa przysłowki, ten drugi nawet trochę niezrozumiały. Ale zrozumiały jest czasownik o zbliżonym brzmieniu, więc między „s” a „r” ostatniego wyrazu domawia „m” i całość nabiera nieoczekiwanej swojskości, nader często akcentowanej w życiowej praktyce dziecka. Trzeba również umieć czytać by być lektorem dla tego wieku. Kiedy np. „Fernando” Leafa, baśń (w przekładzie Ireny Tuwim) o samotniczym i sentymentalnym byczku czyta mama, wszystko jest w porządku. Ale czasem głośną lekturę musi przejąć inny z rodziców, wtedy krytyka-słuchacza jest drugocząca: „Tatusi, ty brzydko czytasz. Jak ty czytasz, ja nie mogę płakać”.

Istnieje również cała dziedzina literatury budząca wspólne, dziecięce — dorosłe, zainteresowania. „O krasnoludkach i o sierotce Marysi” Konopnic-

kiej, „Mały książę” Saint Exupery’ego, „Podróż Guliwera” Swifta, a przede wszystkim niesmiertelne „Baśnie” Andersena — to kanon tych lektur angażujący zarówno żenice rozszerzone w słuchaniu, uwagę i zachwytem, jak również oczy, które już potrzebują pomocy okularów. I ze strony dorosłych wcale nie jest to czytanie na zasadzie taryfy ulgowej, czy dla przypomnienia bez trosk lat. Jest to wejście w świat inny, ale równie dobrze istniejący. Zresztą czyż nie są dorośli trochę dziećmi? W Londynie na Baker Street można oglądać mieszkanie znakomitego detektywa Sherlocka Holmesa, który nigdy nie istniał Wielbiciele właściciela fajki i pumpów w kratę urządzili je ze wszystkimi szczegółami (jak podaje Irena Słońska) nie zapominając o kolekcji fajek i skrzypcach. Niejedną też z zapaleńców kryminalistyki posłyszysz rozmowę detektywa prowadzoną z doktorem Watsonem, Sancho Pan-są wybitnego mistrza dedukcji...

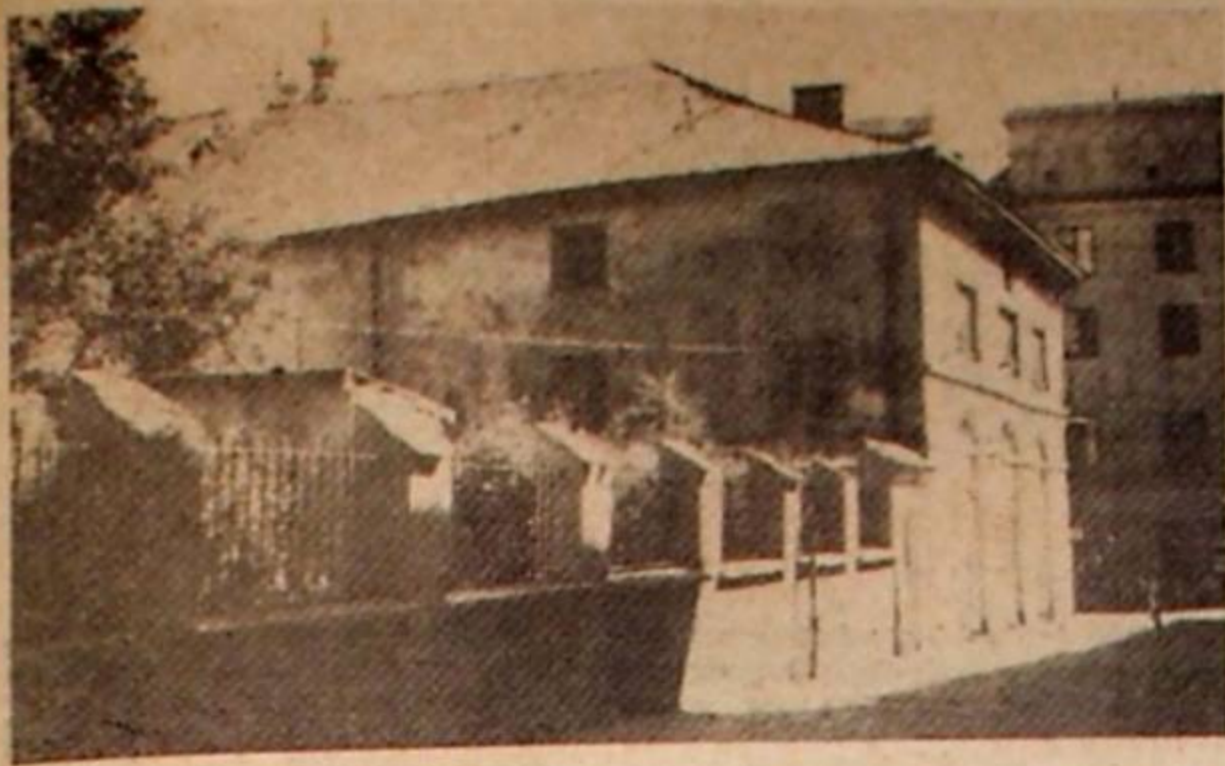
Przeciw dokuczliwościom nadmiernej technizacji życia współczesnego pisarstwo nacelowane na najmłodszego odbiorcę może być skutecznym narzędziem. Tylko pedagogiczny i moralny pierwiastek w tekstach dla dzieci musi być podany dyskretnie, najlepiej w przebraniu, a jeszcze lepiej w szacie humoru. Ot, jak w wierszu Tuwima:

*I kto był Kopernik  
— Król!  
A co nam Śląsk daje?  
— Sól!  
A gdzie leży Kraków?  
— Nad Wartą!  
A uczyć się warto?  
— Nie warto!*

Dodajmy jednak nieśmiało, czy ostatniego wskazania dziecko nie przyjmie dosłownie tendencyjnie eliminując satyryczny i ironiczny wydźwięk. Przecież ma czarno na białym... No nie. Dziecko umie czytać. Oby tak wszyscy dorośli.

Ale tej kropki nad „i” już nie postawiono na sesji naukowo-literackiej „Wartości humanistyczne literatury dla dzieci” w Zamościu. Odbyła się ona w dniach 24 i 25 lutego a zgrupowała zainteresowanych przedmiotem z terenu bez mała całej Polski. Przewodnicząca klubu Literatury dla Dzieci i Młodzieży przy Oddziale Warszawskim Związku Literatów Polskich H. Skrobiszewska mówiła o klasycznych pozycjach tego rodzaju literatury, wicedyrektor Instytutu Kształcenia Nauczycieli w Warszawie S. Frycie — o stanie dzisiejszym, a Leszek Prok w swym pełnym zaangażowaniu wystąpieniu wspominał o kiedyś przez siebie spotkanym chłopcu, który zamiast w pociągu chciał jechać na dymie idącym z komina lokomotywy. Impreza była przeprowadzona niezwykle sprawnie. Jeden tylko błąd popełnili organizatorzy sesji: nie rozdali obecnym okularów, przez które patrząc można ponownie wejść w fosforujący piękny i bez trosk, złoty wiek dzieciństwa.





Fot. J. Trembecki



Fot. J. Wielopolski

# „Samobójczy trup siny wisiał na chustce...”

Mirosław Derecki

— Ja się fachu kinowego nie tylko uczyłem, ja w tym fachu, panie redaktorze, od samego urodzenia roslęm — powiada Mieczysław Makowski.

**D**ZISIAJ jest już na emeryturze. Ale przez czterdzieści lat kultywował rodzinną tradycję. Jeszcze jego dziadek, Romuald Makowski, założył przy ulicy Jezuickiej w Lublinie pierwsze kino stałe, jeden z pierwszych w ówczesnej Kongresówce „bioskopów”. Ojciec pana Mieczysława, również Romuald, prowadził dalej to kino — obecne kino „Staromiejskie” — już w epoce filmu dźwiękowego. A w okresie II wojny światowej z narazaniem życia ratował aparaturę filmową przed Niemcami. Wreszcie — Mieczysław Makowski przepracował ponad trzydzieści lat w tujejszym Wojewódzkim Zarządzie Kin.

Przez trzy pokolenia Makowscy związani są z kinem. Od czterech pokoleń — również z teatrem. Przecież budynek kina „Staromiejskiego” pozostaje od 1823 r., to znaczy od chwili wybudowania go z przeznaczeniem na teatr, w rękach jednej i tej samej rodziny! Rzecz już dzisiaj unikalna w swoim rodzaju w Polsce: budynek przy obecnej ulicy Trybunałskiej obchodzi właśnie 155-lecie istnienia, jako nieprzerwanie działający „przybytek” sztuki, i 70-lecie wyświetlania tutaj filmów. Jest jedynym w Polsce, a może jednym z nielicznych na świecie, pierwszym kinem stałym kontynuującym swoją działalność. Pewnie jedynym kinem, które zachowało dawny wystrój wnętrza w stanie prawie niezmiennym! Prawie, ale o tym potem.

Półkolejście otaczające salę łoża piętrowe, wsparte na drewnianych kolumnach „paradyż”, na który wiodą strome, ciemne, przebijające się przez grubą warstwę murów schody, wysoka scena z nieruchomą już dzisiaj kurtyną, mroczne, ciasne zaplecze sceniczne — są prawie takie same, jak w czasach, gdy w świetle świec i naftowych lamp występowały tutaj „trupy” aktorskie pod przewodem Trapszów, Rapackich, Kamińskich... Budynek, zwany wówczas teatrem zimowym, lub Teatrem Makowskiego, przeżywał swoje dni chwały. I upadku — szczególnie po wzniesieniu pod koniec XIX stulecia przy obecnej ulicy Narutowicza okazałego gmachu Teatru Wielkiego. Dopiero filmowa „sotrepryza” dziadka Romualda Makowskiego spowodowała powrót publiczności na widownię... Fakt, że dzisiejsze wnętrza kina „Staromiejskiego” wydaje się spadkobiercy rodzinnej tradycji zbyt... nowoczesne. Pan Mieczysław Makowski ze wzruszeniem wspomina nie istniejące już wizerunki czterech Muz na sklepieniu sali teatralnej oraz pięknie wymalowaną postać Apolla z lutnią — nad otworem scenicznym, pinzowe firaneczki, dyskretne lampki nad łożami... No i kabina kinowa mieści się dzisiaj wysoko, pod samym sufitem, a nie — na wysokości pierwszego piętra. Światło projektora przechodziło niegdyś tuż nad głowami widzów siedzących w łoży. Niesfori dowcipnie lubili puszczać w czasie seansu — „zajączki” na ekranie.

Romuald Makowski-senior zawiadywał teatralno-filmowym interesem przy ulicy Jezuickiej, ale własność budynku przeszła na Makowskich ze strony jego małżonki, Julii z Rodakiewiczów, córki znanego na początku ubiegłego stulecia lubelskiego architekta i budowniczego Łukasza Rodakiewicza, który — pełen inwencji i przedsiębiorczości — w latach 1822—1824 teatr ów własnym sumptem wystawił. Romuald Makowski musiał posiadać nie mniej energii od teścia, bo kiedy zakładał pierwszy w Lublinie kinematograf (w Stanach Zjednoczonych zwany w owych czasach „nickelodeonem”), dobiegał osiemdziesiątki. Zmarł tuż przed I wojną światową przeżywszy lat dziewięćdziesiąt z okładem. Jego spadkobierca, również Romuald, liczył sobie wtedy niewiele ponad dwadzieścia lat!

W piątek, 3 stycznia 1908 r., pojawiło się w miejscowym „Kurjerze” prowadzonym przez znanego lekarza i społecznika, dr Biernackiego, ogłoszenie następującej treści:

Nowość w Lublinie  
Théâtre Optique Parisien  
ulica Jezuicka

W TEATRZE MAKOWSKIEGO  
Wspaniały program w 3 oddziałach  
Najnowsze francuskie BIOSKOPU  
Dziś między innymi wystawiona jest:

Dla chorej matki. Kura z włosami. Prześpiństwo w górach. Narzeczona ochotnika. Dyscyplina i ludzkość. Minonka podczas burzy. Nieszczęsna 500-rublowka. Przygody strażaka.

Szczegóły w programach. Początek w święta i soboty od godz. 1 pp. do 11 wiecz., w dni powszednie od g. 3 pp. do 11 w.

Kinematograf, zwany bioskopem, musiał być nie lada sensacją dla lublinian. Ową cudowną technikę zagrościł wreszcie w ich mieście na stałe! Z gazet wiedziano wiele o rozwoju wynalazku braci Lumiere; co pewien czas nawiedzali też miasto wędrowni przedsiębiorcy kinowi organizujący „prezentacje”, najchętniej w salach teatralnych, jako swobodny dodatek do granych tego dnia na scenie w „żywym planie” (jak by się dzisiaj powiedziało) lekkich komedii. Była to zresztą zasada powszechnie na świecie stosowana.

Okres jarmarczny kina, jego okres wędrowny, skończył się około roku 1907. W Lublinie pierwszy pokaz sinematografu i maszyny koncertowej odbył się w miejscowym teatrze w styczniu 1899 r. — a więc w trzy lata po historycznej projekcji braci Lumiere w Paryżu i w dwa lata po pierwszej polskiej projekcji w Krakowie. Na scenie grana komedia Jana Szutkiewicza „Popychadło”; jako główną atrakcję wieczoru wyświetlano szereg krótkich filmików, m. in.: „Artyleria powstańcza na Kubie”, „Przybycie pocługu w pełnym biegu”, „Wysadzenie okrętu przez torpedowiec w powietrze”. Zaprezentowano też polski mini-film: „Zaspary dorożkarz i wyprzęgnięcie konia”, w którym rolę tytułową kreował znakomity polski aktor, Kazimierz Junosza-Stępski. Twórcą filmu był pionier polskiej kinematografii inżynier Kazimierz Prószyński.

Alisi — jak się rzekło — Théâtre Optique Parisien, który zagościł na stałe w teatrze przy ulicy Jezuickiej, w pamiętnym styczniu 1908 r. przestawał być już przygodną rozrywką. Wyznaczał początek określonego, nowemu masowemu zjawisku kulturowemu. Niezależnie od głosów zachwytu i głosów krytyki, jakie mu miały otędot towarzyszyć. Nie tylko w Lublinie uważano kinematograf za rozrywkę niegodną człowieka kulturalnego.

Théâtre Optique Parisien stanowił wszakże magnes dla przedstawicieli wszystkich formacji społecznych. Publiczność oszalała nagle na punkcie lubelskiego „nickelodeonu”. Za dwadzieścia kopiejek (w Ameryce, w tego rodzaju kinach bilet można było kupić za „nickel” — monetę pięciocentową) miało się w zasięgu ręki najodleglejsze najwspanialsze cuda i dziwy tego świata. Kasa Teatru Wielkiego świeciła pustkami, a u Makowskiego było zawsze pełno. W „Kalendarzu Lubelskim” na rok 1909 Zdzisław Piasecki oceniając miniony sezon teatralny, pisał: *Konkurencję teatrowi uczyniły także dwa bioskopy, vel kinematografy, i te miały zawsze zapelnioną widownię. Tak się dzieje nie tylko w Lublinie (...)* Prasa wszędzie ten objaw notuje, wskazując rozmaite środki zaradcze, ale głos prasy w tej kwestii nie znajduje pastucha u publiczności. No bo i jakże by! Teatr Wielki dawał Słowackiego, lub nawet frywolną „Wesolą wdówkę”, a iluzjon z ulicy Jezuickiej... parował uderzenie „Wyscigami samochodów we Francji”, „Jajkami Wielkanocnymi”, „Zemsta Algierki w arabskich górach” oraz: „Teściowa nie pojedzie więcej na jarmark”. Dyrektor teatru stawał do boju z „Piękną Heleną” w odwodzie, a pan Makowski walił go na odlew „Pocałunkiem czarodziejki”, „Dwoma rywalami” i „Biedną swinia”. A miał jeszcze w rezerwie: „Murzyna i policjanta”, „Piekarza i marynarza”, „Zonę zbyt kownicę”, „Spóźnionego pana młodego” i... „Biuro małżeństw w Ameryce”. A na dodatek „Romans szansonistki”!

Były więc zdania na temat kulturotwórczej roli kina nad wyraz rozbieżne i kiedy zaczął doktor Biernacki proponować w 1909 r. przybycie do Lublina

z odczytem Leo Belmontowi wybranie się do kina, czynił to z lekką nieśmiałością, aby przypadkiem uczuć znanego publicysty, literata i krytyka — nie urazić. I wymieniał — jakby na własne wytknięcie — nazwiska dwóch panów przyjeżdżających z Zakopanego (Stefana Zeromskiego i poety Jana Lemańskiego — przyp. MD.), którzy „co dzień latali do kinematografu...”

Albo bo też repertuar ówczesnych iluzjonów przedstawiał się na ogół tak, jak to scharakteryzował w swej „Baśni o kinematografie” zamieszczonej w „Świecie”, w 1909 r., Wacław Wolski:

W książkowej, zbrodnicy, przedmieściowej pustce, Rozciągnięty tragicznie trup gacha pod murem... List fatalny pod lampy krwawym abażurem... Samobójczy trup siny, wiszący na chustce... Broczące krwią tragedie, dziwne niesłychane! Matka swa, w kochanku poznająca syna... Od rozkładu zielona, zabita hrabina... Zbir, jak mucha, na stromą drapieżkę się ściana.

Czyż można się dziwić, że już wkrótce po otwarciu pierwszego w Lublinie „bioskopu” do redakcji „Ziemi Lubelskiej” nadszedł list Widza przypadkowego, (zamieszczony następnie również na łamach „Kurjera”), będący pierwszym w historii lubelskiej „krytyki filmowej” głosem zdecydowanego protestu:

Szanowny redaktorze! Szczególny gust publiczności lubelskiej jaskrawo uwydatnia się na twoje przedstawienia dla dorosłych, szalenie zapelniających widownię teatrzyku p. Makowskiego, noszącym obecnie szumną nazwę: „Théâtre Optique Parisien”. Zdaje się, że nie ma człowieka z jakim takim wychowaniem i tak pozbawionego smaku estetycznego, żeby w produkcjach bioskopu nie znalazł tego, czym one są: szkaradziństwa pornografii, cynicznie wyuzdanej i maskującej się tak zwany „Genre parisien”, mającej być „nowością” dla dorosłych.

Niestety, ta „nowość” stara jak świat ściąga nie tylko dorosłych, ale także młodzież, niedorostków a nawet dzieci! (...) Jako przypadkowy widz na niedzielnym przedstawieniu widziałem tam główki dzieci na galerji, słyszałem oklaski młodych na widok najcyniczniej wyuzdanego obrazu, przedstawianego w realnie plugawy sposób. Czyż powinniśmy tolerować bez protestu takie szerzenie rozpusty? Czyż mamy podtrzymywać materialnie osobistości, które, zdradzając niemieckimi napisami na ekranach, skąd pochodzi francuski bioskop, polujący na polskie kieszenie, szerzą pornografię.

Biedny Makowski senior! Gdyby wiedział, do czego doprowadzą w siedemdziesiąt lat później te gorszące sceny, w których „wszteczone” amantki pokazywały nagie (!!!) ramiona, nogę powyżej kostki (!!!) lub poddawały się lubieżnej pieszczoce morskich fal w długich do ziemi koszulach! Do „inwazji seksu na ekranie”, do porno-filmów, porno-shopów... Ach, miły serce, miły wyobraźni! Spuśćmy lepiej na to, na migotliwy ekran iluzjonu wstydlivą kurtynę...

W związku z ogromnym zainteresowaniem, powstaje wkrótce w Lublinie drugi bioskop. We wtorek, 17 marca 1908 r. w gmachu hotelu „Janina” przy ulicy 3 Maja 6 (tam, gdzie dzisiaj mieści się Kuratorium!!!) otwarto konkurencyjny Teatr-bioskop „Oaza”. Od tej pory obydwie kina będą ze sobą zawzięcie rywalizowały. Wtedy też właściciel „Théâtre Optique Parisien” wprowadził (20 marca 1908 r.) po raz pierwszy specjalne seanse, z których dochód przeznaczony na wpisy dla biednych uczniów szkoły im. Staszica.

W 1912 r. było już w Lublinie sześć kinematografów. Henryk Gawarecki w książce: „O dawnym Lublinie”, podaje ich nazwy: „Bioskop Lubelski”, „Moderne” przy Krakowskim Przedmieściu, „Lux” przy Lubartowskiej, „Rusalka” przy Zamojskiej i „Kultura”. Kino „Kultura” mieściło się przy obecnej ulicy Kościuszki. W ostatnich miesiącach 1912 r. powstało kino „Oaza” (w innym miejscu niż „Oaza” z 1908 r.), które po latach przekształciło się (po gruntownych przebudowach) w znane przedwojenne reprezentacyjne kino Lublina „Corso”.

Dokończenie na str. 12



# 400 LAT NA BOROWINIE

## ROZMOWA Z LEK. MED. JÓZEFEM RAJCHLEM, NACZELNYM LEKARZEM UZDROWISKA IWONICZ

— Panie doktorze, Iwonicz cieszy się dobrą opinią wśród ludzi dotkniętych schorzeniami reumatycznymi, narządów ruchu i takimi, które powstają na podłożu neurologicznym czy gastrologicznym. Słowno: małe uzdrowisko, duże wzięcie, co w szczególności sposób satysfakcjonuje właśnie nas, lublinian, jako że lubelska Akademia Medyczna posiada w Iwonieży ośrodki naukowo-badawcze takich klinik, jak ortopedyczna, reumatologiczna, laryngologiczna i gastrologiczna. To są przecież fakty dość dobrze znane. Ale czy przeciętny kura-cusz, popijający solankę jodkowo-bromową słono-alkaliczną o nazwie „Elin 7” oraz sok z marchwi w kawiarni obok niezłe zaopatrzonej księgarni, czy ten ktoś orientuje się, dlaczego właśnie w 1978 roku uzdrowisko Iwonicz obchodzi 400-lecie? Smiem twierdzić, że nie ma o tym zielonego pojęcia.

— Być może, warto zatem poinformować, że w aktach ziemi sanockiej Iwonicz wspomniany jest już na początku XV wieku. Nicwiele później rozeszły się po kraju wiadomości o leczniczych właściwościach tutejszych wód. Jako swoisty punkt wyjścia do ustalenia daty naszego jubileuszu przyjęli-

my jednak rok 1578, kiedy nadworny lekarz Stefana Batorego, Wojciech Oczo, ogłosił rozprawę pod tytułem „Cieplice”, w której między innymi wspominał o stosowaniu wód iwonickich dla celów leczniczych. Dodam, że było to pierwsze dzieło lekarskie, opublikowane w języku polskim. Umowny charakter jubileuszu wspiera się więc na konkretnym fakcie historycznym. A poza tym — poracając do owego „zielonego pojęcia” — to chyba jednak nie ma pan racji, ponieważ każdy turnus kuracyjny otrzymuje pewną porcję wiedzy na temat przeszłości uzdrowiska.

— Huczny to będzie jubileusz? Wyciąg narciarski za „Górnikiem” macie zamiar iluminować, skocznie narciarskie podświetlać wesolo, złote rybki upuścić do basenu, koniki z ośrodka jazdy konnej przystroić kokardami?!

— Ironista z pana, redaktorze... Naturalnie, jakieś dekoracje pojawią się w uzdrowisku, ale bez przesady. W zasadzie tę naszą rocznicową okazję wykorzystamy „na roboczo”, organizując na przykład regionalne sesje naukowe oraz międzynarodowy zjazd naukowy na temat działalności leczniczej uzdrowiska „wczoraj — dziś — jutro”.

— „Wczoraj” to wyjątkowej urody

drewniane budynki z minionego i początku naszego stulecia, utrzymane w „stylu badań”, chwalcące się pokrewieństwem z secesją...

— ... i w całości podlegające opiece konserwatorskiej, wpisane do rejestru zabytków.

— No i jeszcze, panie doktorze, kameralne, wyjątkowo zapadające w pamięć wnętrza kina „Wczasowicz”, gdyby nie późniejsze „modernizacje” — czysto secesyjne.

— Na tej starej fotografii widać, jak dawna sala koncertowa przedstawiała



Iwonice Zdrój. Sala koncertowa

## LIST Z ZAMOŚCIA

# MOŻE PRZESADZAM...

**S**ENSACJA, bo chyba nie wydarzeniem jednak, pierwszych dni marca był fiński film „Ziemia jest grzeszną pieśnią”. Przechodniów elektryzował takiej oto bezprecedensowej treści anons: „Z uwagi na zbyt naturalistyczne przedstawienie spraw seksu, jak dotąd w żadnym wyświetlanym u nas filmie, obsługa kina będzie skrupulatnie przestrzegać granicy wieku — zapraszamy”. Nie dziwnego, że publiczność — o średniej wieku znacznie poniżej 20 lat — szalenie wypełniała 449 miejsc widowni przez wszystkie seanse. Przy takim naporze rzeczona skrupulatność obsługi ograniczała się jedynie do mniej lub bardziej dezaprobujących mruknięć... Szesnastolatowa publiczność (na ten film demokratycznie zlikwidowano podział na I i II miejsca) z niecierpliwością oczekiwała fajerwerków superwyrafinowanych scen ekscytacyjnych. Tymczasem „momenty” były ale rozczarowanie znacznie większe. Jeden z widzów określił walory owych „momentów” dosadnie — „seks spod siekiery”. Przywodzący na myśl „Ziemię” Emila Zoli, film epatował naturalistyczną nagością. W turpistycznych oparach obraz tylko z rzadka zachłystywał się przejmującym, surowym pięknem lapańskich pór roku... Nie rozwodząc się zbyt długo: widzowie komentowali imprezę jednoznacznie — sprytny chwyt reklamowy, a że poniżej pasa...

Pozostając przy temacie: po jednym ze styczniowych artykułów „Sztandar Ludu” błyskawicznie powołano dyskusyjny klub filmowy, wyznaczono dzień tygodnia na seanse studyjne i po czterech filmach ambitne zamierzenie splajtowało, tak przynajmniej sędzić można po lekturze marcowego terminarza eksponowanego w gablocie kina. Może zabrakło odpowiedniego repertuaru, skoro jako studyjny film potraktowano rozrywkowe „Nieme kino”, o którym jeden z recenzentów napisał, że „jest budzącą żal i zdumienie pomyłką repertuarową”. Nb. ten niby studyjny, dla wąskiego kręgu kinomanów film grano później przez prawie tydzień.

Może za czas jakiś, jak się to już zdarzało, wróci działalność studyjna, albo może dla odmiany wzno-

wi się np. maratony filmowe. Po dwóch, trzech atrakcyjnych wieczorach, gdy zacznie się żenić lepsze filmy ze słabszymi (a co gorsza ze wznawianymi), zlikwiduje się maratony, itd. A propos wznowień, to ostatnimi czasy jest ich nazwyczaj dużo, głównie „komercyjniaki”, niewątpliwie bardzo kasowe, tyle że wyświetlane kosztem iluś nowych filmów wchodzących na nasze ekrany.

Nic nie poradzi największa nawet operatywność, demonstrowana przecież wielokrotnie przez kierownictwo kina, skoro w czterdziestoparotysięcznym mieście istnieje praktycznie jedno kino. „Dedal” ma charakter dzielnicowy i nie jest za bardzo po drodze większości zamościan. „Sztandar Ludu” zaprzestał nawet drukowania repertuaru tegoż kina. Ileś lat wstecz doskonale służyła sala domu kultury (kino „Padwa”), obecnie przez 5 — 6 dni w tygodniu nie wykorzystywana. Pozostaje więc „Stylowy”, który rolę pierwszej sali widowiskowej w mieście pełni od przeszło 50 lat. Brak szatni, niewygodne krzesła, pozostawiająca wiele do życzenia klimatyzacja, foyer (niegdyś „Stylowy” był oficjalnie kinoteatrem) niczym niedoświetlona podrzędna poczekalnia dworcowa — cały ten niewyszukany komfort denerwuje szczególnie jeśli ktoś zna np. kino w Chełmie.

Dwa nowe kina (800 i 500 miejsc) przewiduje się w nowym centrum Zamościa. Ich przyszłe miejsce jest obecnie kawałkiem pola i trzeba solidnie wysilić wyobraźnię, by ujrzeć je inaczej niż porostem burakiem, lub tytoniem. Zanim pojawią się w nowym centrum te wszystkie teatry (tak, teatry nie teatr), hotele, kina, restauracje upłynie jednak 10—20 lat...

W przeciwieństwie do kina ambitnego głównie tuziemców, hotele to już nie tylko kwestia prestiżu, jeśli zważyć wysokie aspiracje turystyczne Zamościa. Dlatego też nie czekając na inwestycje podjęto decyzję o usytuowaniu hotelu na Starym Mieście, w pomieszczeniach otrzymanych po renowacji. Opracowuje się już dokumentację dla zespołu hotelowego „Victoria” w obrębie Ratuszowej, Kółkaję, Przybyszewskiego i Perca. Wyborem nazwy przyszłego hotelu, kojarzonej z bankietowo-fotokomórkowym hiperluksusem imienniczką z Pl. Zwycięstwa w Warszawie, nie kierowała bynajmniej megalomania. Otóż za okazałą fasadą, prawie osiem-

dziesięcioletniej kamienicy w północnej części przyszedł zespołu (ul. Perca) mieścił się jeden z trzech zamojskich hoteli, o tej właśnie nazwie.

Miało być o aktualnościach kulturalnych, od których kolejne dygresje tak w czasie, jak i w temacie znacznie odbiegły. Ad rem! Muzyczną edukację kontynuowali zamościanie znanymi już cyklami koncertów w „Consulatusie” i KMPiK. Bywało się więc na recitalu Bogny Sokorskiej, recitalu skrzypcowym Barbary Górzyńskiej, na koncercie Filharmonii Lubelskiej, wreszcie na spotkaniu z muzyką odtwarzaną mechanicznie... Najpiękniejszych wrażeń dostarczył wspaniały koncert, jakim ukontentowała publiczność czołowa polska skrzypaczka, laureatka kilku międzynarodowych konkursów wspomniana Barbara Górzyńska. Do nastroju nie zabrakło niczego: dostojny Bach, nieposkromione radosne allegro i nostalgiczne adagio beethovenowskiej sonaty, rozlewna liryka Czajkowskiego; ciepły blask świec, delikatna uroda solistki; za oknami zasmęcona niedzielna aura i gęsty prawie jesienny zmrok... Szkoda tylko, że tak niewielkie grono słuchaczy oklaskiwało artystkę. Oryginalna sztuka wokalna p. Sokorskiej zgromadziła dwukrotnie więcej publiczności. Znakomita jej większość przychodzi na imienne zaproszenie, z dołączonym programem koncertu. Natomiast nie zadbane jakoś, by niewielki zresztą programik (wydrukowany w nakładzie znacznie przekraczającym liczbę obecnych) podać wraz z biletem, nielicznym, a przecież szczególnie miłym amatorom zwabionym afiszem.

O innych imprezach nie będę już się rozpisywał. Niejako w zamian, cytując „Miłym zaskoczeniem jest dla nas popularność jaką się cieszą (...) koncerty Filharmonii (...) i spotkania z cyklu „Muzyka w stereofonii” — twierdzi w wywiadzie dla „Sztandar Ludu” dyrektor zamojskiego KMPiK. Na wspomnianych koncertach nie spotyka się nigdy więcej niż 12—15 osób i to najczęściej z personelem Klubu, co nie wydaje się szczególnym powodem do miłego zaskoczenia, a raczej niemiłej kompromitacji. Gdyby tak pani dyrektor przyszła od czasu do czasu na koncert, ciekawe jak by się czuła, obserwując źle skrywane rozczarowanie aktora, czy muzyka, albo wysłuchala po raz któryś grzesznościowego frazesu prowadzącego imprezę „...nie ilość, lecz rodzaj widzów”. Wypada się pocieszać, że to nie obojętność, a niedoinformowanie jest winne. Gdyby tak miast dwu kaligrafowanych afiszy było kilkadziesiąt drukowanych i eksponowanych w szkołach, instytucjach, w osiedlach mieszkaniowych! Czy to coś pomoże? Nie wiem. Po tylu wyrzekaniach puenta, dość przewrotna zresztą... Opisując stutysięczną dzielnicę Warszawy dziennikarka „Polityki” tak pisze o tamtejszym KMPiK — „na prelekcje nie zeznała się nikt, na spotkanie z reżyserem nikt, na spotkanie z prawnikiem dwie osoby”. Może więc przesadzam z tym czarnopatrzeniem?

Andrzej Kędziora



się w oryginalnie. Być może uda się doprowadzić ją do pierwotnego stanu. Takie przynajmniej mamy plany.

— Bardzo dobrze! A w Ciecchocinku kilkanaście lat temu siekierami wyrąbano prawie wszystkie stylowe drewniaki, chwalcące się unikalną szycerką. Nie tak dawno ktoś wpadł ponadto na pomysł, aby rozebrać teatr letni, w którym występował Trapszo, Cwiklińska i chyba Solski. Na szczęście nie doszło do tego skandalu.

— Jak pan zauważył, redaktorze, w Iwonicy buduje się sporo nowych obiektów sanatoryjnych, nowych domów mieszkalnych. Zdajemy sobie przecież sprawę, że o wyjątkowym pejzażu uzdrowiska stanowią właśnie te stare drewniane budynki. Nowy i duży zakład przyrodolecznicy, który oddany zostanie do użytku właśnie w okresie jubileuszu uzdrowiska — będzie to zwiększeniem uroczystości — tak zręcznie wkomponowano w zadziwioną skarpe, że zupełnie nie kłóci się z odmiennym stylistycznie otoczeniem architektonicznym.

— Jeśli trafiliśmy do współczesności, na wyniosłym, stanowiącym jakby salony ekspozycyjny uzdrowiska stoku zauważyłem co najmniej kilkanaście domków jedno- i wielorodzinnych — niesłychanie smutnych, banalnych w formie, absolutnie nie pasujących do znakomitego i ładnego Iwonicy, którego powietrze „nasycone solą, jodem, bromem i ozonem stwarza wysokowartościowy, leczniczy klimat górski i morski zarazem”, jak informuje przewodnik. Wspomniana zabudowa inny przecież zapach wydziela, inny klimat stwarza.

— Naczelny lekarzem uzdrowiska jestem niecałe dwa lata. I powiem krótko: w Iwonicy powinny być wznoszone tylko takie domy, które respektują miejscową tradycję budownictwa.

— Tak czy inaczej, dwutysieczny dzień Iwonicy rozrasta się, w przyszłym roku Związek Zawodowy Budowlanych i Chłodnia Dębica wprowadzą kuracjuszy do nowych własnych sanatoriów. A tymczasem, jak mogłem się zorientować, w uzdrowisku brakuje słodkiej wody.

— Istotnie, musimy oszczędzać wodę, która w odpowiedniej ilości dopłyne do Iwonicy dopiero w 1982 roku, po zakończeniu budowy zapory na Wisłoku. Tymczasem z konieczności do kąpieli wirowych i czterokomorowych, do masażu podwodnych używamy solanki, która, co tu dużo mówić, niszczy nam urządzenia.

— Obawiam się, że taka eksploatacja wysuszy również źródła solankowe...

— Ani solanki, ani borowiny nie zabraknie nam przez wiele długich lat. Rekonstruuje się stare, pokopalniane odwierty, przeprowadza nowe wiercenia.

— Nowe sanatoria zdają się być wygodne, niektóre zalecają się nawet znośną architekturą, ale przecież stary, oddany do użytku w 1931 roku „Excelsior” ciągle cieszy się znakomitą opinią. A przecież, o ile się orientuję, w pomieszczeniach, które niegdyś przyjmowały jednorazowo do 180 osób, leczy się dziś niemal 300. Więc tłoczno w pokojach.

— To prawda, z reguły w jednym pokoju lokujemy czterech pacjentów, ludzi o różnych zawodach, upodobaniach, wrażliwości, co w sumie nie sprzyja prawidłowej kuracji. Jeśli jednak, jak pan twierdzi, szpital uzdrowiskowy „Excelsior” ma dobrą opinię, zawdzięczać to chyba należy sprawnej organizacji procesu leczenia i wypoczynku, będącej dziełem całego personelu. System: łóżko — wanna — łóżko likwiduje uciążliwą dla pacjentów konieczność chodzenia na zabiegi do innych obiektów. Pod dachem „Excelsiora” mają oni wszystko: kąpiele mineralne, borowinowe, masaże, gimnastykę leczniczą, elektroterapię, inhalacje etc. — nawet wodę mineralną do picia. Na miejscu jest także kiosk „Ruchu”, telewizja, prasa, bilard i stół ping — pongowy w salach klubowych. W tym samym budynku przyjmuje chorych ośmiu lekarzy...

— A czy personel zabiegowy, mówiąc językiem branży, nie „zachęca” pacjentów do sięgania po portfel, w zamian obiecując „lepsze” zabiegi?

— Nie, na pewno nie, a potwierdza-

ją to właśnie pacjenci. Inna sprawa, że ludzie sami wypychają pracowników różne datki.

— Macie też całkiem przyzwoitą stółkę, ze zróżnicowaną i urozmaiconą dietą.

— Bo potrafimy kalkulować: w interesie chorych.

— Czy wszyscy doceniają walory „Excelsiora”?

— Niestety, niektórzy kuracjusze przyjeżdżają do nas, jak się okazuje, w celach nie tyle leczniczych, co rozrywkowych. Ze chodzą na tańce do „Krakowiaka” czy „Gloriety” — dobrze, niech im będzie na zdrowie. Nie tolerujemy jednak tych, którzy popijają alkohol: amatorów szkodliwej dla zdrowia wesołości natychmiast wydalamy ze szpitala, przesyłając zarazem odpowiednie informacje do zakładu pracy i instytucji kierującej do nas takie nieodpowiedzialne jednostki. Warto w tym miejscu przypomnieć, że dzienny koszt pobytu jednej osoby w „Excelsiorze” waha się w granicach od 210 do 230 złotych.

— Przyjmujecie także cudzoziemców...

— Tak, Zjednoczenie „Uzdrowiska Polskie” i „Orbis” kierują do nas obywateli innych krajów, głównie z kręgów polonijnych USA, RFN, Wielkiej Brytanii, Holandii, Australii, nawet Afryki. Za dobę płać oni 6, albo 8, albo 19 dolarów, podczas gdy w krajach zamieszkania taka doba pobytu w szpitalu kosztowałaby ich 100 dolarów plus 30 za drobne usługi w rodzaju podania kompotu.

— Jest pan naczelnym lekarzem uzdrowiska, ale także dyrektorem „Excelsiora”, więc chyba dobrze adresuje pytanie o genezę nazwy obiektu stojącego na górze „Przedziwnej”, 420 metrów nad poziomem morza, a zatem w ciszy i czystym powietrzu...

— Hrabowie Załuscy, ostatni przed wojną właściciele Iwonicy i potomkowie Karola Załuskiego, odnowiciela źródła w pierwszej połowie minionego stulecia — mieszkali kiedyś we Wło-

szach w hotelu o nazwie „Excelsior”. Na iwoniczym plaży w końcu budowy obiektu i sprzedali go ZUS-owi, który po zakończeniu oddał sanatorium Kasie Chorych.

— Mówiliśmy o przeszłości i teraźniejszości uzdrowiska, pora więc na temat „przyszłości, plany, perspektywy”...

— Przede wszystkim nie chcemy dopuścić do urbanizacji Iwonicy, która niewątpliwie zniszczyłaby jego wyjątkowy, kameralny charakter. Nowe budownictwo sanatoryjne, wczasowe czy prywatne (mieszkalniowe) powinno rozwijać się w kierunku Rymanowa, co w efekcie ukształtowałoby pasmo uzdrowiskowe Lubatówka — Iwonica — Rymanów — Rudawka Rymanowska. Przewiduje się, że poszczególne dzielnice oddzielałyby od siebie strefy zieleni o szerokości od 500 do 2000 metrów. Na obrzeżach pasma znalazłoby się budownictwo mieszkalniowe i handel. Wie pan, że nowe tereny mają nieco lepszy klimat od miejscowości położonych w kotlinach...

— Panie doktorze, od dawna mieszka pan w Iwonicy?

— Od dziesięciu lat. A poza tym to tutaj właśnie się urodziłem. Akademię Medyczną ukończyłem we Wrocławiu, a przed powrotem w rodzinne strony pracowałem w Zegiestowie.

— No cóż, wrócił pan nie byle gdzie, bo na teren „księcia wód jodowych”, jak w połowie XIX wieku nazywał Iwonicy rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, dr Józef Dietl. Aha, czy „Excelsior” doczeka się wreszcie kapitalnego remontu?

— Tak, zapewne w przyszłym roku. No i wtedy pracownicy szpitala, ludzie sprawdzeni, fachowi, poszukają zatrudnienia w innych sanatoriach, co zmusi nas do kompletowania całkiem nowego personelu, kiedy skończy się remont. Niewesoła to perspektywa. Jak zatem widzi pan, pozornie oczywiste i konieczne rozwiązania rodzą całkiem nieoczekiwane i skomplikowane problemy.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał Ireneusz J. Kamiński

Dora Gabe

## PYTAM

Jakże mam odkryć tę tajemnicę, która bez mojego udziału tworzy uczynki moje?

Biegnę z otwartymi ramionami ku horyzontowi, wołają mnie głosy z czterech stron świata — nie zatrzymuję się. Wabią mnie gorące spojrzenia — nie zatrzymuję się. Odurzają mnie pola z rozkwitłymi różami, tracę oddech od ich aromatu — nie zatrzymuję się. Spieszę z wydłużonymi od porwy rękami.

Czy tyś mnie zatrzymał, wróbelku, skąpany w pyłe, bo się bałam, że cię nadepnę? Czyżbym ciebie szukała?

## BLIŻEJ BUŁGARII

Damian P. Damianow

### CZŁOWIEK

Niebo — butla siwa lub muszelka. Ziemia — jasna, wielka uroczystość. Między nimi — ja — muszka niewielka, jakaś jeszcze nie odkryta istność. Zagadkowa. Jasna a niejasna. Ze złych, z dobrych atomów złożona, w których tyle umysłów tkwi ciasno, ale istność ta wciąż niezgłębiona. Gdzież szukano mnie? — w ziemi zarodku, w niebie szukał mnie jakiś zdobywca, lecz zostałem ja gdzieś tam pośrodku, a dokładniej — w nich samych, w odkrywcach, Tchem i ciałem zostałem zarazem. Dal bezkresu i drobne źdźbło trawy. Człekozaur — niby ptak wespół z plazem. Szczęsny. Ale i smutny, i łzawy. Widząc cuda na ziemi, na niebie, wielki Boże, ja przecie strach czuję, że na końcu odkryję sam siebie. W jednej duszy. Tak, w duszy. Lecz w której?

Paweł Matew

### OJCZYZNIE

Ja nie przysięgę — dam ci duszę, co nigdy w wietrze się nie chwieje. I ja czasami błędzić muszę — lecz wierną w sercu mam nadzieję, żeś ty jest wieczna. Jak pięć ziemi, tak jak Marica i Madara. Nad tobą krzyż Botewa cieniem legł, niby ptak co wznieść się stara. Ojczyzno, droga ma surowa maleńkim śladem dotknie ziemię. Lecz jeśliś wieczność zamknął w słowa — to w niej słowo Ojczyzna drzemie. Ty zbierasz wiarę, niwę, glebę, rzeki, przełęcz, dumne wzgórze, niewyrażalny błękit nieba w jedną historię pełną burzy. Niech w uroczystym śpią spokoju bohaterowie er twych srogich, byś rozstajem w trudnym znoju przeróżnych plemion, wiar i bogów. I ja potomkiem ich zostałem i przy kolysce mej nocami niewiasta z chleba źdźbłem czuwała i czuwał ojciec ze skrzypkami. I z twojej czujnej ziemi czarnej hen ponad ziola i pszenice w niebo wznosiły się pożary, fosy powstańcze szubienice. Tu pod sztandarem twym się laly potoki krwi od ran czerwone. A tam po północ tańcowały nimfy, rusalki, dziwożony... Bułgaro! Mój domowy kacie ogromnych uczuć i kolei, gwiazdo na późnym horyzoncie, miłości w plonnej mej nadziei. Ty blasku strzemion co zachwycasz, mój śpiewie, placzu mój daleki, ty niby światłość ciemności oświecasz czujne me powieki.

Tłumaczył z bułgarskiego Tadeusz Ross



Fot. Z. Zugał

Albena



# TOMASZ - KRÓL POLSKI...

Dokończenie ze str. 3

Teodozji, bo przecież monarchini o takim imieniu też gdzieś kiedyś panowała. Oj, szlag by trafił seniora rodu, gdyby wstawszy teraz z grobu pojechał do kraju i usłyszał, jak mamy wabią swoje dzieci, owych Robertów, Arturów, Patryków...

Organizował Wojciński Polaków, dzieci chrzcili polskimi imionami, podczas procesji nieodmiennie chadzał zaraz za polskim sztandarem, nie zmienił nazwiska — więc Niemcy przemawiali go „królem polskim”. Prosty człowiek, kował z zawodu, później ślusarz maszynowy w kopalni „Juliusz Filip” w czasie pierwszej wojny światowej, Tomasz Wojciński udowodnił swoją postawą, jak instynkt plemienny i emocje z nim związane potrafią integrować człowieka osobowość i nadawać ludzkiej działalności sens racjonalny. Prezes Towarzystwa św. Bronisławy patronował poczynaniom sportowego „Sokola” i chóru, żonę wy kierował na skarbniczkę Towarzystwa Polek i nauczycielkę języka polskiego, śpiewu, tańców i gier teatralnych młodzieży. W domu nie zezwalał na używanie języka niemieckiego. Teodozji zabronił chodzenia do sklepów po zakupy, a dzieciom — kontaktów z niemieckimi rówieśnikami. „Ja nie bylam nigdy na niemieckiej zabawie — wspomina pani Janczakowa — a na polskie było daleko. Piechotą, bo tramwaje wtedy też były drogie, i śpiewając polskie piosenki, co Niemców wówczas jeszcze nie drażniło, zmierzaliśmy po kilka i kilkanaście kilometrów: do Hattingen, Herne... Ojciec od dziecka przysposobił mnie do „robienia teatru”. Sama też projektowałam i szylam stroje, bo na kupno gotowych czy krawcową nie starczało pieniędzy”.

Taki reżim w tamtych czasach był jedynym ratunkiem przed utonięciem w morzu niemieckości. Postępowanie Wojcińskiego było zresztą tylko indywidualnym przejawem ogólniejszej i respektowanej zasady, w myśl której każdy członek zarządu organizacji polonijnej musiał wychować dzieci w duchu narodowym.

W 1922 roku towarzystwa polonijne utworzyły Związek Polaków w Niemczech, zachowując autonomię w ramach tej organizacji, która okazała się autentyczną siłą społeczną i w pewnym stopniu polityczną. Może świadczyć o tym fakt posiadania przez Polonię własnego posła w parlamencie niemieckim. Od początku Związek kierował się kilkoma podstawowymi zasadami programowymi, które explicit zostały sformułowane znacznie później, bo w marcu 1938 roku, podczas berlińskiego Kongresu Polaków w Niemczech, który ku zaskoczeniu hitlerowców, totalnie już władających Rzeszą, zgromadził tysiące delegatów. Oto owe „Prawdy Polaków”: „Jesteśmy Polakami!”, „Wiara Ojców naszych jest wiarą naszych dzieci!”, „Polak Polakowi bratem!”, „Co dzień Polak służy narodowi!”, „Polska Matką naszą — nie wolno mówić o Matece Żel!”.

Towarzystwo św. Bronisławy także zgłosiło akces do Związku Polaków w

Niemczech, działając w sposób swobodnie do końca 1938 roku. Od stycznia 1939 r. prezesi wszystkich organizacji polonijnych musieli raz w miesiącu meldować się w komendach policji hitlerowskiej, a latem zostali uwięzieni w Bochum, skąd po kilku tygodniach przetransportowano działaczy Nadrenii — Westfalii do obozu w Oranienburgu — Sachsenhausen. Tam właśnie zetknęli się z uwięzionymi profesorami Uniwersytetu Jagiellońskiego, którzy byli przekonani, że już na Boże Narodzenie powrócą do domu. Jak wiadomo, stało się zupełnie inaczej i tragicznie.

Tomasz Wojciński również trafił do tego obozu — w wieku 68 lat. Pomiędzy w tym czasie najmłodszy jego syn został wcielony do armii niemieckiej, rodzina zapytała listownie Rudolfa Hessa, jak młody Wojciński może walczyć dla Reichu, skoro bez żadnego powodu uwięziono ojca. Hess skierował sprawę do Himmlera i ostatecznie Tomasz Wojciński wrócił 31 grudnia 1939 roku do Bochum.

Rzecz nabrała rozgłosu, mimo że Polakom nie wolno było wówczas opuszczać miasta na odległość przekraczającą trzy kilometry. No i inne rodziny poszły śladem Wojcińskich — skutecznie. W 1940 roku wielu starszych działaczy polonijnych z Bochum i okolic zostało uwolnionych. Młodszych od razu wcielono do wojska.

Mieli ci ludzie szczęście, po prostu szczęście. Hitlerowcy z reguły krwawo rozprawiali się z aktywnym Związkiem Polaków w Niemczech. Edmund Osmańczyk, działacz tej organizacji, takie fakty odnotował w swojej książce „Był rok 1945...”, w której przedstawił m. in. to, co odnalazł w Berlinie po kapitulacji III Rzeszy:

Opiekun Bursy, członek Rady Naczelnej Związku Polaków w Niemczech, Bruno Labecki, został w 1940 roku ścięty na podstawie wyroku gestapo. Żonę wywieziono do obozu koncentracyjnego i ślad po niej zaginął, podobnie jak i po matoletniej córce Irce, którą zabrał rzekomo ktoś z rodziny z Poznania... Na Momenstrasse odnalazłem znaną w Charlottenburgu ze swego patriotyzmu i aktywnego udziału w pracach organizacji polskich rodzinę Przybyłłów, a właściwie jej resztki, starszą matkę i jedną córkę. Z przerażeniem dowiedziałem się, że dwie córki zostały schwytane przez gestapo, oskarżone o zorganizowanie sabotażu i skazane na śmierć przez ścięcie. Najmłodsza Stefa ostatniej nocy przed egzekucją przecisnęła się przez kraty i uciekła w przebraniu sprzątaczkę więzienną — pierwszy i jedyny wypadek w historii Moabitu, centralnego więzienia Berlina. Jej siostra, która nie mogła przecisnąć się przez kraty, została ścięta... Ostatni pełniący obowiązki prezesa Związku, po śmierci księdza patrona, niespożyty Stefan Szczepaniak, człowiek wielkiego charakteru i ogromnej wytrzymałości psychicznej, od sześciu lat przebywał już w obozie koncentracyjnym, gdzie zginęła jego żona i prawie cała reszta rodziny. Osmańczyk wymienia ponadto wiele nazwisk ludzi, któ-

rzy zginęli też za Polskę, wśród nich — wydawcę dziennika „Naród” w Herne na Westfalii — tam, gdzie pani Janczakowa chadzała na polskie zabawy — Mariana Kwiatkowskiego, który został zamordowany wraz z żoną w obozie koncentracyjnym.

Zapamiętajmy: działaczy polonijnych, ich dzieci ścinano toporem.

Po powrocie do Bochum Tomasz Wojciński musiał podpisać w gestapo oświadczenie, że nie puścił pary z ust o tym, co widział w obozie. W przeciwnym wypadku wróci tam na lat pięć. A uwięziono go dlatego — usłyszał — ponieważ chcieli Polaka uchronić przed szykanami niemieckich sąsiadów!

Po zakończeniu wojny Wojciński postanowił wrócić do Polski, podobnie jak wiele innych osób, prześladowanych przez hitlerowców. Tymczasem znów zaczął działać w Związku, wprowadzając doń wnuczkę, późniejszą Wandę Gotowicką, która ostatecznie została prezesem komórki związkowej.

Nie dane było przecież „królowi polskiemu” spocząć w ziemi ojczystej, jak tego pragnął. Niedługo przed wyjazdem do kraju, w listopadzie 1949 roku, zmarła żona Teodozja. Więc Wojciński pozostał, odczekał kilka miesięcy i też poszedł jej śladem: w sierpniu 1950 roku. Ich groby znajdują się na pobliskim cmentarzu, niedaleko domu państwa Gotowickich, wzniesionym na polu, które Tomasz Wojciński uprawiał niegdyś pod kartofle.

Córka „króla polskiego”, mimo że już przecież niemłoda, nadal udziela się w ruchu polonijnym. „Dzięki wychowaniu w domu rodzinnym. Zainteresowanie teatrem czy śpiewem też zawodzięz mam i ojcu. Zresztą chór mieliśmy we własnym domu: jeden brat śpiewał basem, dwóch — tenorem, siostra — sopranem, a ja — altem. Każda uroczystość była wtedy śpiewana. A na przedstawieniach naszego teatru sala zawsze była pełna, nie jak dzisiaj. Przed wojną każde towarzystwo, każde przedmieście Bochum miało własną orkiestrę. Przygrywały za darmo, honorowo, nie jak dzisiaj. Jak panu już powiedziałam, dawniej to byli idealisci, a dziś są materialisci. Po wojnie za wszystko zaczęli brać pieniądze; nie mogłam się z tym pogodzić”.

Wanda Gotowicka jest dziś „ministrem finansów we własnej chalupie”. Przez wiele lat działała w Związku i prowadziła szkołę języka polskiego, którą ukończyło 200 dzieci. Społecznie zajmowała się teatrem i choreografią. „Jako dziecię musiałam klepać wierszyki po polsku, bez przerwy. Na pierwszych zabawach i występach mam byłam w wieku sześciu miesięcy. O opiekuncie nie było co marzyć, więc chłopcy nosili mnie w koszyku za matką, kładli w knajpie koło orkiestry, no i dobrze. I każdy mnie tutaj zna.” Przyszłego męża poznała podczas pracy w polskiej agencji konsularnej, którą podjęła w 1946 roku, trudniąc się m. in. opracowywaniem dokumentacji dla dzieci wracających do Polski.



Tomasz Wojciński, „król polski”

Apollinary Gotowicki był lekarzem, po studiach w Warszawie, które ukończył w 1938 roku. Niedługo potem, za sprawą wojennych okoliczności, trafił do oflagów w Monachium i Dortmundzie. Po upadku III Rzeszy leczył żołnierzy i oficerów polskich. Jako lekarz naczelny PCK kierował do kraju transporty repatriacyjne, niejednego z rodaków uwięzionych przez aliantów za różne przewinienia, typowe dla czasów powojennego chaosu, wydobyl z aresztu i wysłał do Polski. Niejednego uchronił od śmierci. Kiedy sam postanowił wrócić do kraju, poznał panią Wandę, której ojciec zachorował właśnie śmiertelnie, i pozostał. Pobrali się wkrótce, a pan Apollinary rozpoczął zawziętą, heroiczną walkę o godne miejsce w społeczeństwie niemieckim. Najpierw musiał nostryfikować dyplom. Później, przez 24 lata, sprawował się jako lekarz w hucie. I dopiął swego. Znany jest w Bochum jako „polski lekarz” — to określenie zastępuje nazwisko, bo i tak wszyscy wiedzą, o kogo chodzi. Chorzy przyjeżdżają do niego z odległości 30—50 kilometrów, a nawet z Monachium. Bo Gotowicki leczy nie tylko medykamentami, ale i słowem. Daje zastrzyk — rozmawia z pacjentem, podaje pigułki — pociesza go. A leczy właściwie wszystko: zawały, schorzenia laryngologiczne, ginekologiczne (zaraz po wojnie odbierał dziennie 10—15 dzieci), nowotwory, nerki. I tylko w ostateczności, kiedy zachodzi potrzeba przeprowadzenia operacji, kieruje chorych do szpitala... Od początku istnienia organizacji należy do Związku Polaków „Zgoda” w RFN, podobnie jak jego żona i teściowa.

Pora kończyć wizytę. Zegnam gościnnie, serdeczny dom, w którym na ścianach godło i pejzaże polskie przypominają o rodowodzie gospodarzy. I wychodzę razem z panem Gotowickim, śpieszącym do chorego. Zbliży się godzina 21.30. „Jestem prywatnym lekarzem domowym. Przyjmuję codziennie od 9 do 11, potem, od 11 do 13, mam wizyty domowe, następnie jem obiad i ponownie, od 16, przyjmuję w swoim gabinecie. Po przerwie wsiadam w samochód i znów odwiedzam swoich pacjentów — do godziny 22.”

Ireneusz J. Kamiński

Krzysztof Zuchora

## BRZEMIEŃNEJ

z dumą obnosisz  
żagiel marzenia  
pośród stłoczonych wód  
niespokojnego oceanu

idąc  
wypełniasz sobą  
wielką jaskinię  
powietrza

Kamena str. 10

tym korytarzem  
szedł przed laty ktoś  
kogo ledwie myślą  
dotknąć się ośmielasz

a jednak szedł  
rysunek po sobie zostawił  
rdzawą plamę  
wczesnego wybuchu

chcesz być muzą  
wprawiaj się w cierpieniu  
kiedy bieg pióra  
lechce bosa stopy  
nie okazuj wtedy



Rys. E. Inglot

cienia niepokoju  
był koń spłoszony  
nie przesadził płotu

chcesz być muzą  
okazuj łaskawość  
pierwotne słowa  
przyjmij w swoim łonie  
jak wieczór gwiazdę  
bierze z rąk ciemności  
nim wiersz roziskrzy  
nieba zimne skronie

chcesz być muzą  
bądź nią bez obawy  
koi ci usłuznie  
grzbiet spieniony pada  
spętaj go jeno  
czule kolanami  
i w rączym biegu  
bezdrożami prowadź



# PORTRET

Wiesław Horabik



Rys. E. Ingol

**T**A SALKA mieściła się w długim ciągu małych sklepików, w których wysoce mężczyźni w brudnych fartuchach i pękate kobiety w cienkich sukienkach sprzedawali gwoździe, haczyki, zawiasy do okien i drzwi. Miasto w tym miejscu już się przeczadzało, kępy tramwajowe sterczały na pustej przestrzeni ulicy, domy zdecydowanie obniżały wysokość, sznury budynków szczybiły się, a ogrody były mniej przypadkowe i bardziej wrosnięte w pejzaż. W ciepłe popołudnia można było nawet zobaczyć starców jak pylowali na niskich stołkach wprost na chodniku. Ich suchy kaszel trzeszczał w martwym powietrzu jak kruszony piasek, bo pył całego miasta osiadł właśnie tu zachęcony gładkością podwórek i martwą klombów. Tramwaje budziły tę część miasta co pewien czas, nadając jej dostateczne pozory ruchu dla tych, którzy uciekli tu przed monotonią i lekką ciagliwością wsi i niedzielami małych miast. Ludzie znali tu czasami swoje nazwiska i wiedzieli kto niedługo zemrze, weźmie ślub, a kto pozostanie samotny. Dzięki niskim parapetom domów można było zajrzeć nawet do saloniku pełnego gratów, różnobarwnych makatek na ścianach i koronkowych ścieriek na stolach. Nawet kurz miasta nie mógł przysypać tłustego zapachu kapuchy i flegmiastego kurzego mięsa. Nietrudno było zatem wiedzieć, co kto kładzie do garnka. Nadawało to tutejszym ludziom w przeciwieństwie do tamtych z samego środka miasta pozory rozpoznania i indywidualności i znacznie mniej dziwaków kręciło się tu za opłotkami, a ludzie odbywali swe życie, jak przykazała natura. Byli nudni i senni, ale chyba trochę szczęśliwsi, bo mieli czas na odmierzenie szczęścia.

Stary zapewne zawsze siadywał w tym kącie, bo ilekroć potem udało mi się przetrzeć brudną szybę i zerknąć do wnętrza, sterczał tam zawsze tak samo, jak w chwili, gdy go poznałem.

Dwóch mężczyzn w samych koszulach pochylało raz po raz głowy nad zielonym stołem i wolno obchodziło wokół wyszlizgane ciemne drewno. Trzask zderzających się kul biegł wąskim korytarzem do brudnej kuchni, w której pachniało piwo i płakały dzieciaki. Czasami w drzwiach ukazywał się chudy garbus z ptasią twarzą i w skrawku lustra przyczepiał ruderne, tłuste włosy bladoniebieskim grzebieniem. Przemysłnie ukryty za kotarą głośnik czasami czytał monotonią wiadomości a czasami śpiewał Bob Dylan (Twój ojciec wyjął spod prawa i wędrowniec z zawodu nauczy cię, co brać i jak).

Stary nie grał. Z pewnością nie umiał grać. Patrzył za to chciwie na grających jakby w tym patrzaniu chciał zapomnieć o myślach, które opuszczały go tylko w chwili, gdy usnął na brudnym wyrku w swym pokoju na piętrze. O tym, oczywiście, nie wiedziałem jeszcze, kiedy wszedłem do bilardowej salki, z krótkim szarpnięciem dzwonka u drzwi. Wszedłem tam wprost z ulicy powleczonej sznurkami pyłu wirującego w bladym jesiennym słońcu. Dzień był prawie letni, ale pod stopami łamały się wyschłe ruderne liście o ostrych brzegach. Przez zamazaną szybę widziałem szerokie plecy starego i długie siwe włosy opadające na kolnierzyk niebieskiej koszuli, ale nie dla niego tam wszedłem. Pragnąłem wyjścia z tego nijakiego ciepła w chłodne wnętrza przyciemnionej drewnianą boazerią. Pragnąłem także chłodnego piwa i porcji frytek z ketchupem, które oferował wyblakły napis na drzwiach.

Nikt nie spojrzał nawet na mnie, gdy wszedłem. Grający mruzcili do siebie pod nosem, a stary wpatrywał się w ruchliwe kule biegące zielonym sukrem i raz po raz wpadające z klekotem w drewniane dziury. Usiadłem po drugiej stronie stołu, przy którym siedział stary i twarzą do bilardu jak on. Miałem już chłód i czulem się znacznie lepiej niż przed chwilą. Wyciągnąłem papierosa i na wyprostowanej dłoni podał jeden staremu. Pochwycił go chudymi palcami nie patrząc na mnie i czekał na ogień, który miałem mu podać. Wypuszczaliśmy dym w zadawnioną lepkość tego pomieszczenia, w jego utajoną pustkę i półlegalną tajemniczość. Siwe smugi wlewały się pod stropem, gruchotało drewno, pomrukiwali gracze, a tramwaj na chwilę rozbełbnął ulicę, poderwał ją do krótkiej energii, która zaraz wygasła z cichym skrzyżowaniem żelaza i stukotem kół na złączach szyn. Może ten moment energii, ten wieczny błysk życia na popołudniowej monotoni natchnął starego słowami:

— Na bardziej podobają mi się jej oczy — powiedział. — Oczy i dłonie. Kiedy pracuje, szczególnie

uwagę poświęcam jej rękóm. Bez tego nie potrafiłbym dobrze jej odtworzyć. Człubym taki brak, jaki czuje się patrząc na fotografię. Na zdjęciu nie ma ruchu. Na zdjęciu ludzie są jak owady oprawione w szkło. Nie mógłbym mieć jej zdjęcia, a bez wyrazu jej dłoni nie mógłbym także robić tego, co robie.

W drzwiach od kuchni ukazał się garbus i popatrzył na nas. Za chwilę przyniósł na ramieniu brudną ścierkę i zapytał czego pragnę. Zamówiłem piwo dla nas obu.

— Dlaczego nie może jej pan normalnie mieć? — zapytałem starego, kiedy garbaty kelner odszedł.

— Już mi zniknęła z oczu — powiedział. — Odchodziła znacznie wcześniej, kiedy rosła w swoje dziwne pragnienie odejścia od czegoś, z czym ja pogodziłem się szybko i na zawsze. One odchodzą, ale czasami odchodzą inaczej, normalnie, rozumie pan. A ona?... Tak dziwnie się stało.

— Czy odchodziła dla kogoś? — spytałem.

— Wtedy to też byłoby normalne. To był chudy wysoki facet, który zjawiał się u nas ni stąd ni zowąd i zobaczył ją jak szła ulicą w luźnej sukience, brązowym swetrze i koku ciemnych włosów, które upinała zawsze godzinami patrząc na kwiaty za oknem. Właściwie nie lubiłem jej włosów, chociaż kochałem ją całą. Przyciemniały jej oczy i wtedy widziałem w nich to, czego się bałem. Najchętniej widziałbym ją obciętą jak chłopak, z jasną szeroką twarzą.

Garbus przyniósł nam piwo. Stary zanurzył usta w białej pianie.

— Kiedy wyjechała, musiałem podążyć za nią. Pieknie bałem się tych klozetów opróżnianych z ranka, wyciągniętych gardzieli na przystankach, stukotu maszyn na „start” i beznadziejnej świadomości, że nie możesz ogarnąć wszystkiego, co dzieje się wokół ciebie. Przyjechałem już nie dla niej, ale żeby ją zrozumieć — ciągnął. — Nie mogłem jej pojąć nie poznając źródła jej fascynacji. Tu ludzie są niedobrzy. Są jak karły gnijące we własnych małych sprawach. Kiedy zrozumiałem, że nie przyjechałem tu po nią, ani dla niej, zacząłem ją tworzyć na nowo. Zacząłem tworzyć ją dla siebie.

Jeden z grających zaklął cicho, a czerwona kula wystrzeliła wysoko poza drewnianą ściankę i poturlała się po zakurzonej podłodze.

— Czemu pan nie wrócił tam? — zapytałem. — Mogłoby pan tworzyć ją i tam, jeśli o to chodziło.

— Nie. To byłoby za mało.

Stary zdusił papierosa w blaszanej puszcze.

— To byłoby za mało. Czasami muszę na nią popatrzeć i wiedzieć, że jest blisko.

— Rozmawia pan z nią wtedy?

— Nie. Ona nawet nie wie, że ją widuję. Rozmowa popsułaby tylko to, co jest.

— Może — powiedziałem.

Wypiliśmy piwo i stary podniósł się z krzesła.

— Chodźmy — powiedział.

Wyszliśmy znowu w to rozgnite powietrze jesieni, a wszystko wokół nas jakby pomalowało i skurczyło się.

— To pańska córka — powiedziałem.

— Tak.

Kiedy wchodziłem za starym drewnianymi trzszcącymi schodami, znowu przejechał tramwaj. Dobiegło mnie echo drobnych kroków i krótki śmiech. W pokoju starego z każdego skrawka ściany patrzyły na mnie oczy. Duże, brązowe, jasne, młode oczy. Były to oczy najepełnione, dopiero rozpoczęte i oczy niezdarne. Ale były tam i dobre oczy: duże, brązowe, jasne i młode. Pokój starego pachniał opuszczoną męskością, nieładem i brakiem delikatności. Pędzle tkwiły w uciętych u góry puszkach i wąskich pudełkach z tektury. Podłoga pienila się różnobarwnie od wyschłych piłam, a stosy papieru piętrzyły się po kątach. Tylko wąskie, brudne wyko stało szare i puste pod oknem. W rogu pokoju wisiała ciemna kotara, zza której stary wyjął duże płótno i umieścił przede mną, oparte o krawędź stołu.

Patrzyła na mnie smukła i łagodna dziewczyna. Długie, ciemne włosy przyciemniały jej blade policzki, a miękkie, delikatne usta nadawały jej podobieństwo do starego. Drobne, białe dłonie o długich, szczupłych palcach spoczywały splecione luźno na brzuchu. Te dłonie, chociaż takie drobne, przysłaśniały szczupłość i delikatność jej ciała. Nadawały wyraz całej jej postaci. Dużo pracy musiał stary włożyć w ich odtworzenie.

— Jest piękna — powiedziałem.

— Tak — powiedział stary. — Tak piękna, jak była jej matka.

— Jest tak piękna, że musi być dobra — powiedziałem.

— Jest dobra, mimo to, co zrobiła — odparł stary.

Sterczeliśmy ze starym na rogu wysokiego, szarego domu, czekając na Annę, która miała nadejść. Po prawej stronie mieliśmy opuszczony targ; zielone budki z odrapaną tu i ówdzie farbą, szerokie plachty papieru, które niezdarne przewracał wiatr, skórki od bananów i nadgniłe jabłka.

— Zawsze przechodzi tędy o tej porze — powiedział stary podnieconym szeptem.

Czekaliśmy już tak dobrych kilkanaście minut. Bardzo pragnąłem ją zobaczyć. Bardzo pragnąłem zobaczyć jej oczy i ręce, ale pragnąłem także zobaczyć jej twarz, która wypchnęła starego ze swojego życia mimo wszystkiego, co było w nim.

Za pustymi straganami gonili się z piskiem białe-czarne koty, a niebo pociemniało od chmur rozmazano lepkość ulicy, w ostre chłodne pęknięcia, których cienie kładły się na drobnej kostce. Była we mnie niecierpliwość i podniecenie, jak przed czymś niespodziewanym, co ma nadejść i wie się, że nie nadejdzie. Przytulony do brudnego kawałka muru czulem także rozdygotanie starego. Myślałem o tym jak duży jest jego świat. A kiedy zawołał szeptem „Jest!”, sam odczułem przemożną ulgę spełnienia.

Patrzyłem na tę kobietę o nalanej, owalnej twarzy i dokładnie widziałem jej białą tłustą dłoń, która trzymała rękę dziecka. Miała na sobie rozpięte polyskliwe futro, a jej wielki biust rozpychał szarość powietrza. Spód szarej, wełnianej czapki wymykały się rude kosmyki rzadkich włosów, a jej chód był dumny i ciężki. Zobaczyłem jeszcze wysokiego, chudego mężczyznę i dwoje starszych dzieci kłócących się zaindziej.

Stary patrzył na nią w skupieniu, z cichym wewnętrznym uśmiechem, który mogłem zobaczyć tylko w kątach jego ust. Kiedy Anna popatrzyła wolno gdzieś ponad naszymi głowami w brudne okna na piętrze, wtedy spostrzedłem dokładnie jej wąskie, bezradne oczy, pełne bezpieczeństwa i rezygnacji...

Jechałem pustym tramwajem do miasta.

## MIMOZA

Janusz Szyca

mój nienarodzony syn spogląda na mnie z powietrza  
gdyby mu zrobić wyprawkę do chrztu  
i wysłać ją do niego spadłochronem  
gdyby mu rzucić w górę kilka margerytek  
na margerytki chodzę latem wiosną chodzę na bzie  
jak przyjdą fiołki chodzę na fiołki jesienią na astry  
teraz będę chodziła po prostu na dzieci  
tydzień temu widziałam piękne dziecko  
znacznie piękniejsze od tego sprzed trzech tygodni  
urządzą małe mistrzostwa jeśli chodzi o dzieci  
zresztą na nowo odnalazłam zabawy w Indian  
już się nie znam chyba mam fantazję  
chyba tak bo kiedyś miałam nawet oczopląs  
mężczyźni nie zniszczyli mi fantazji chociaż chcieli  
mężczyźni mojego życia świnie  
czy mężczyźni stają na wysokości zadania? nie  
i potem kobieta ma swoją bolesną tajemnicę  
która ciągle i wiecznie na nią spogląda  
chciałabym zamienić głowy mężczyznom a potem  
przekręcać im imiona żeby każdy z nich wreszcie  
był sam z siebie  
ale płakać nie umiem  
zamiast płaczu mam ochotę na jakąś patetyczną rzecz  
mszę po łacinie zaśpiewać „Wyklęty powstań ludu ziemi”  
albo urządzić zjazd w pokoju ze ścianami w portretach  
pradziadków  
mój brat jest taki patetyczny lubi pogrzeby  
i ładnie rysuje a najładniej nagrobki  
łapię się na tym że wielka sprawa mnie nie zalamie  
a zalamuję się na błahostkach i czy to jest w konwencji

stylowej mimozy?  
co mi pomaga? lubię się zwierzać przygodnym ludziom  
o czy ponurym adoratorom też?  
nie mam praktyki mój ponury adoratorze  
oczywaśz mnie mimozą czy mimozą jest nieobliczalna?  
jeśli nasila się moja sympatia do koloru czarnego  
ktoś umiera i czy to jest rodzaj dyplomacji mimozy?  
mimozą? naprawdę mam na imię Maria na drugie Jolanta  
z bierzmowania Anna a Madośka nazywają mnie w domu  
zobaczyłam kiedyś mimozę ale zaraz jak wylądają mimozy  
co sądzić o mimozie co sądzić w ogóle o sądach?  
jako mimozą mam na to sposób: nie nie pamiętam  
chodzi o to by się nie superować  
ale głupieję kiedy zostaje sama jakbym była już stara  
jako mimozą potrzebuje mieć dwa światy oba w nawiasie:  
jeden prostoty drugi żeby się wygadać  
mądra jestem w nocy i w nocy jestem mimozą szorstką  
idę na szorstki żywioł: śmieję się  
mój śmiech drży nim się spełni ale już jak się spełni  
po takim śmiechu we mnie się w nocy wszystko tłucze  
ach pokłócić się z kimś ale ja kłócę się  
tylko w niedziele bo wtedy kłótnie są uroczyste  
ponury adoratorze marzę o dzikiej satysfakcji  
po prostu coś poczuć żeby mnie ktoś uderzył  
na może zaskoczył  
ponury adoratorze uderz mnie proszę cię  
ja drzę ja drzę ale nie istnieje dla mnie  
strach i kiedy jako mimozą wcielona stanę się  
pięknie smutna  
zmarzną artystycznie



# Gasnąca gwiazda Haliny Frąckowiak

Istvan Grabowski

**N**AJWIĘKSZE triumfy święciła H. Frąckowiak z grupą ABC, założoną na początku 1969 roku przez byłego perkusistę Niebiesko-Czarnych i Polan — Andrzeja Nebeskiego. W latach twórczej współpracy z tą znakomitą formacją wokalistka zwyciężała bezkonkurencyjnie we wszystkich plebiscytach popularności, konkursach i festiwalach, uchodząc powszechnie za gwiazdę nr 1 polskiej estrady. Zanim jednak stała się sławną i cenioną, przeszła długą i bynajmniej niełatwą wędrowną po scenach różnych klubów i domów kultury.

Zadebiutowała bardzo młodo, bo jeszcze w 1963 roku, wchodząc w skład drugiej Złotej Dziesiątki Wokalistów — Festiwalu Młodych Talentów, organizowanego przez byłego dyrektora Estrady Szczecińskiej a dzisiejszego impresaria Hagawę, Jacka Nieżychońskiego (słynną pszczołką w nowym show Rosiewicz). Zwycięstwo w Szczecinie niczego poza osobistą satysfakcją i ozdobnym dyplomem nie gwarantowało stawiającą pierwsze kroki wykonawczyni.

Uszczęśliwiona pierwszym poważnym sukcesem, a jednocześnie nadal „bezrobotna”, Halina związała się najpierw z poznańską grupą muzyczną Tarpany, prowadzoną przez zdolnego organistę Klaudiusza Magę. Tarpany mimo amatorskiego statusu liczyły się już wśród „kolorowych” zespołów, bo zasilali je wtedy nie mniej zdolni od Magi instrumentalni — basista Michał Muzolf (późniejszy filar Breakout) i saksofonista Mirosław Polarek, których gwiazdy miały niebawem rozbrzmieć pełnym światłem. Z Klaudiuszem Magą trafiła Frąckowiak na jakiś czas do grupy Takty, a następnie Tony, prowadzonej przez późniejszego Trubadurę — Ryszarda Poznańskiego. Krótko współpracowała też z najsympatyczniejszym w tamtych latach zespołem Czerwono-Czarnych.

Rychło okazało się jednak, iż żaden z tych muzycznych mariaży nie był w stanie zadowolić ambicji ciągle poszukującej wokalistki. I dlatego kiedy perkusista Piotr Milewski organizował przy Estradzie Białostockiej Drummersów, Halina została solistką tego zespołu, przyjmując pseudonim Sonia Sullim. Z Drummersami, w których znalazło się kilku wybitnych muzyków, Sonia śpiewała ponad rok, wystąpiła kilka razy przed kamerami TV i objechała kawał powiatowej Polski. Wymarzona sława, niestety, w dalszym ciągu nie przychodziła, chociaż na młodzieżowej estradzie piosenkarka nie należała już do nowicjuszek.

Zniechęcona bezustanną chałturą i ciągłym życiem na walizkach Halina przerwała na blisko rok występy. Wiele wtedy pracowała nad kształceniem dykcji i właściwym ustawieniem głosu, oczekując atrakcyjniejszych niż dotychczas propozycji.

W 1969 roku nadarzała się świetna okazja chwycenia wiatru w plecy. Właśnie zreformowani po raz drugi Polanie ponownie ogłosili plażę, niedawna solistka Dana Lerska i jej mąż, saksofonista Włodzimierz Wander, organizowali nową kapelę, a Andrzej Nebeski, szef osieroconego zespołu, gwałtownie poszukiwał młodej, zdolnej solistki o wyrobionym głosie i bardziej znanym nazwisku. Ktoś zaproponował Halinę Frąckowiak i z miejsca zaangażowano ją w charakterze gwiazdy. Gwiazdą została istotnie i to bardzo szybko, zaskakując konkurencję barwą i pewnością głosu, obyciem estradowym (lata spędzone na trasach nie poszły na marne), a głównie serią złotych przebojów. Jej piosenki „Za mną nie oglądaj się”, „Napisz proszę”, „Czekam tu”, czy też „Nie potrzeba mi nic” nuciła bez przesady cała młodzieżowa Polska, natomiast pod adresem patronującej grupie



Fot. J. Płoński

Agencji Koncertowej PSJ nadchodzący tony listów z prośbami o zdjęcia i autografy.

Nagrody dla Haliny sypały się niczym z rogu obfitości, wspaniale zwycięstwo na festiwalu opolskim w 1969 roku, Złote Kotwice Sopotkiego Lata 1969 i 70, tytuły najlepszej wokalistki roku 1969, 70 i 71, to tylko skromna część trofeów. Sukces był rzeczą oczywistą.

W grupie ABC Frąckowiak odkryła jeszcze jedną cenną umiejętność — łatwość komponowania nowych piosenek. Zdobywała więc wszelkie dostępne dla wykonawcy estradowego nagrody i zaszczyty, aż zupełnie nieoczekiwanie w okresie największego prosperity rozstała się z ABC decydując się na samodzielną karierę.

Koncepcja artystyczna zespołu zmuszała ją do traktowania swego nieposłedniego głosu, jako jednego z wielu instrumentów, a tymczasem podsypane sukcesami ambicje były nieco inne. Odtóż zapragnęła być wreszcie gwiazdą z prawdziwego zdarzenia, nie uzależnioną od kolegów i ich planów. Decyzja rozstania się z towarzyszącymi dotąd i, co ważniejsze, dostarczającymi stale nowych przebojów muzykami ABC okazała się być nieprzemysłana, zbyt pochopna i zgoła zgubna. Bo oto karta się odwróciła. Powoli, acz systematycznie, zanikała dotychczasowa sława, zaś bardzo często powtarzane przy nazwisku Frąckowiak słowo kariera stawało się z czasem pustym frazesem. Z brakiem

nowych, równie trafiających w gusta słuchaczy piosenek wspaniała Halina przestała liczyć się jako ta najwybitniejsza. Mało tego, w pamiętnym 1971 roku wokalistka stanęła w martwym punkcie i żadne z jej późniejszych dokonań nie mogło równać się z okresem, kiedy rzeczywiście brylowała.

Nie jest tajemnicą, że u źródeł powodzenia piosenkarza, bądź piosenkarki leży nie tylko dobrze wyszkolony aparat głosowy, ale chyba przede wszystkim stała współpraca ze zdolnym kompozytorem, wyczuwającym świetnie popyt. Pozbawiona takiej współpracy H. Frąckowiak stała się nagle królową bez królestwa. Wprawdzie nadal wysoko notowano ją w klasyfikacjach najpopularniejszych wykonawców, ale wycofuwało się już wyraźny zmierzch kariery, toczący się jeszcze siłą rozpędu.

Prawdziwą zimą w jej artystycznej wędrownicy były grupy towarzyszące, a zwłaszcza ich nieustająca zmiana. Kolejno występowała więc z czeskim Buncem Efektom, prowadzonym przez wybitnego Radima Hladika, wrocławskim, hard rockowym Hokusem, triem SBB, a w ubiegłym roku związała się z jazzującą grupą Spisek. W towarzystwie tych bądź co bądź świetnych kapel wielokrotnie usiłowała szturmować listy przebojów (patrz „Panno pszeniczna”, „Znikąd” czy „Bądź gotowy dziś do drogi”), pojawiała się na krajowych i zagranicznych festiwalach piosenki, nagrała dwa solowe longplaye „Idę” i „Geira”, a mimo to nie udało jej się odzyskać dawniej popularności.

Wydaje się, iż złożyło się na to szereg obiektywnych przyczyn, wśród których najważniejszą jest brak określonego stylu, kłopoty repertuarowe i bezustanne rozterki w wyborze określonej drogi dalszego rozwoju. Zauważyłem, że od sześciu lat Frąckowiak próbuje się odnaleźć w najróżniejszych klimatach i stylach, przeskakuje od dynamicznych rocków typu „Bądź gotowy dziś do drogi” do nastrojowych ballad, pisanych specjalnie dla niej przez lidera SBB, Józefa Skrzeka. To właśnie spod jego pióra wyszły piękne utwory „Brzegi łagodne”, „Otwieram list — brzozy wrzesień” i „Pieśń Geiry”, ale wcale nie odpowiadające predyspozycjom piosenkarki, czującej się najlepiej w utworach szybkich, dynamicznych, gdzie może ujawnić pełnię głosu.

Doprawdy jestem przekonany, że aktualne dokonania Haliny Frąckowiak prowadzą w ślepy zaułek, z którego niestety nie ma już wyjścia. Toteż nie spodziewamy się z jej strony gwałtownej eksplozji fascynujących jak przed laty niespodzianek. Zmęczone zbyt długim pobytom na scenie gwiazdy muszą, niestety, kiedyś odejść.

## „Samobójczy trup siny wisiał na chustce...”

Dokończenie ze str. 7

A stary „bioskop” przy ulicy Jeziuckiej? Co pewien czas zmieniał nazwę, miał lepsze i gorsze lata. Natomiast zachował w większości swoją publiczność. Po starciu przychodzili mieszkańcy Starego Miasta, młodzież z Kalinowszczyzny i z Tatarów. Na sali słychać było różnorodną mowę, bo tłumnie uczęszczała tutaj okoliczna ludność żydowska. W dwudziestolecie międzywojennym dawał również na Jeziuckiej przedstawienia teatr Idy Kamińskiej przyjeżdżający na gościnne występy z Warszawy.

W czasie pierwszej wojny światowej, po śmierci starego Romualda Makowskiego, zmieniono nazwę kina na „Panteon”. Potem, na pewien okres, zamarała działalność filmowa. Ale około roku 1929 znowu na Jeziuckiej zaczął terkotać samotny aparat projekcyjny. Zakładano do niego ogromne bębny mogące pomieścić cztery akty filmu — 1200 metrów bieżących taśmy! W ten sposób w czasie seansu można było robić tylko jedną przerwę, na wymienienie szpuli. W ciasnej kabinie kinowej dokonywał cudów z tym aparatem kinomechanik Stanisław Poppe. Jego matka grała pod ekranem na pianinie jako tzw. „taper”.

I Mieczysław Makowski, istotnie — jak zwykły mawiać dzisiaj — rósł w tym kinie, w fachu filmowym... Dziadek zmarł zanim chłopiec przyszedł na świat, Mieczysław od najmłodszych lat musiał poagać ojcu w prowadzeniu rodzinnego interesu. Przeszedł wszystkie stopnie „wtajemniczenia”. Od bilitera i rozklejacza afiszów w mieście po dyplomowanego kinooperatora, a wreszcie — organizatora widowisk.

Dziadek znał tylko z opowieści, często przesiąkniętych tajemniczością... Podobno dziadek jeździł przed laty do Petersburga z petycją o ułaskawienie więźniów skazanych za udział w Powstaniu

Styczniowym. W rodzinie Makowskich istnieje też legenda, że dziadek Romuald chronił w czasie powstania rannych polskich żołnierzy, w tajemnych niszach w murze nad wejściem na galerię teatru...

Przez długie lata Makowscy przechowywali pieczołowicie zbiór starych afiszów i ulotek filmowych jeszcze z początków stulecia, a przede wszystkim — zabytkowy, pierwszy aparat projekcyjny do filmów dźwiękowych: sprzęgnięty z rodzajem patefonu. Na ogromnych, bakelitowych płytach nagrany był głos Al Jolsona, bohatera słynnego „Śpiewaka jazzbandu”. Niestety, wszystko to po wojnie zostało bezmyślnie zniszczone przez obcych ludzi.

Ostatnim przed wojną kinomechanikiem był u Makowskich Władysław Domański, dzisiaj główny mechanik w kinie „Kosmos”. A dalsze przedwojenne nazwy kina to: „Wiedza”, „Adria” i „Rialto”. (Również w pierwszych latach powojennych kino nazywało się „Rialto”. Dopiero na początku lat pięćdziesiątych przemianowano je na „Staromiejskie”).

Na początku września 1939 r. na „Rialto” spadły dwie niemieckie bomby, uszkadzając część murów od ulicy Klonowicza. Romuald Makowski junior, ojciec Mieczysława, przystąpił już w październiku do prac remontowych. Wkrótce potem kinę przejęli Niemcy; rodzinę Makowskich wyrzucili z ich mieszkania...

„Rialto” było kinem, które wznowiło działalność prawie zaraz po wyzwoleniu Lublina. Pierwszy seans — projekcja „Tęczy” Marka Dońskiego według powieści Wandy Wasilewskiej, odbył się 30 września 1944 r. Na wiele seansów przychodziła sama Wanda Wasilewska, ciekawa reakcji widowni... Według innych źródeł — pierwszymi filmami wyświetlonymi w „Rialto” były przywiezione przez wyzwolące wojska dokumentalne krótkometrażówki wojenne, polskie i radzieckie. W każdym razie „Tęcza” była na pewno pierwszym po wyzwoleniu pokazanym w Lublinie filmem fabularnym.

Dlaczego stary lubelski „bioskop”, zdebronizowany przez późniejszą technikę dostąpił zaszczytu stania się „pierwszym” kinem na wyzwolonych polskich terenach? Dzięki odwadze Romualda Makow-

skiego — syna, który widząc, że Niemcy ewakuując się zabierają ze wszystkich kin aparaty, zabarykadował się na głucho w pustym, ciemnym budynku, pozostał nieczuły na kołatania i krzyki żołnierzy. Gdyby hitlerowcy mieli więcej czasu i wylamali drzwi, zostałby prawdopodobnie rozstrzelany... Umarł, długowieczny jak wszyscy Makowscy, w 1969 r. w wieku 78 lat.

Mieczysław Makowski poznał wkrótce po wyzwoleniu, w 1944 r., porucznika Andrzeja Liwnicza z Czołwki Filmowej Wojska Polskiego. Zaproponował mu on współpracę z tworzącym się właśnie Oddziałem Kinofikacji przy Wydziale Propagandy Filmowej Resortu Informacji i Propagandy PKWN. 1 października 1944 r. lubelscy pracownicy kinowi utworzyli przy Resorcie Kultury PKWN — Związku Zawodowy Pracowników Filmowych. Przewodniczącym został Władysław Wiśniewski, a sekretarzem Mieczysław Makowski.

Przez wiele następnych lat prowadził Wydział Rozpowszechniania Filmów WZK i wszyscy, którzy mieli w Lublinie coś wspólnego z filmem, pamiętają dobrze krępa, rumianolicą sylwetką „pana kierownika”. Dzisiaj jest na emeryturze. No i oczywiście... dalej działa. Spotykam go na zebraniach zarządu dyskusyjnego klubu filmowego przy Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, zarządu — któremu prezesuje.

I wtedy najczęściej nie tylko wspominamy dawne czasy, ale zastanawiamy się wspólnie, co począć, żeby dawny „Théâtre Optique Parisien” czyli kino „Staromiejskie” otoczyć właściwą opieką konserwatorską, żeby prawdziwi fachowcy z „pekazetów” przywrócili mu dawny wdzięk, żeby nie było ono drugorzędym kinem dzielnicowym, ale taką placówką z historycznymi tradycjami, na jakie — zasługuje. Zaprzeczono kiedyś okazję utworzenia w „Staromiejskim” ogólnopolskiego muzeum kinematografii. Może by tutaj urządzić filię warszawskiego „Iluzjonu”, kino-zabytek, czy co tam jeszcze?...

Ech, marzenia, marzenia!...

Mirosław Derecki



# Listy do Gerwazego

**W** OSOBLIWY sposób pisze się dziś o poezji. Pisze się tak, że omawiany utwór dla recenzji jest tylko pretekstem, a celem ona sama. Pisarstwo autotematyczne i autoteliczne przekroczyło obszar prozy artystycznej, nawiedziło teren krytyki literackiej.

Krytyk — narcyz i krytyk — Prokrust. Trzeci to krytyk — oryginalny wizjoner. On jeden widzi zjawiska literackie w ich indywidualnym wymiarze, on podaje zastanawiającą trafną wykładnię utworu mając ku temu niebawiale precyzyjne narzędzia. Podziwiający czytelnicy, pekatjście konkurencji. Co mu tam ująć, odczytać, sięgnąć sedna. Jest inteligentny i błyskotliwy.

Będzie się krepował materia wiersza? On koncertuje we własnym imieniu. Wszystko jest sposobnością dla filozofa widzącego lepiej i głębiej, a zagadnienie potrącające postawie wyżej. Nie szkodzi, jeśli nie będzie to w żadnym razie ani z zawartością utworu, ani z intencją autora. Od tego jest inteligentny krytyk, by wytłumaczyć autorowi, że jednak ówce miały coś na myśli. Od tego publiczność, by włożywszy paluszki do buzi patrzyła na krytyka z niezrozumiałym zachwytem. I sądzi. Tu nieobodny drubling między trudnościami, które wymnie sie blaskotliwą metaforą, tu oryginalna koncepcja mająca na moment zachwyty zatrzymać lekturę, tu rajd stylistyczny po nie znaczące, ale inteligentnie brzmiałych terminach zaczerpniętych ze współczesnej refleksji filozoficznej i semiologii języka.

Nie wierzę, że ten stan rzeczy jest niedostrzeżony. Ukazując go popelniam nawet komunal. Tum bardziej zdumiewa, że nikt nie zdiera maski. Omawia się zbiory krytyk, dyskutuje, konferuje i — akceptuje krytyczny belkot, który czasem, kiedy musi się zdobyć na sformułowanie jednoznaczne, opada w dziedzinie nienoradność. Oto np. str. 22 „Świata nierzędzawioneo” Kornhausera i Zagajewskiego: „Najbardziej zasadnicza w naszej kulturze jest rozbieżność między tym, co jest, a tym, co być powinno. Jest to odległość między tym, co chciałobyśmy widzieć, a tym, co naprawdę istnieje. Kultura jest po stronie tego, co powinno być”. Pierwsze zdanie jest banalem, drugie jego powtórzeniem, trzecie niedorzecznością. Bo jeśli kultura jest tym rozgrzebnąk diu sił, to nie jest po stronie żadnej z nich. Oczywiście, że z kultura zawsze łączymy wartości dodatnie ale to już poza autorem. Ich sformułowanie jest niezdarne. Wierzę, że proszę państwa? Możliwe jest taki kłes tam, gdzie się chce powiedzieć nie kilka zdawkowych praw, ale tam, gdzie

rzecz idzie o krytyczną analizę całej współczesnej poezji? Po co w takim razie operować logarytmami, jeśli trudności są z tabliczką mnożenia? I po co udawać, że się tego nie widzi? (A może — rzeczywiście?)

Można odpowiedzieć znanym powiandronkiem o koniu, który ma cztery nogi, a przecieł czasem i lemu się zdarzy. Tak, wybaczalne. Ale to nie potknięcie. To pretensjonalność, ta dowolność, ta nierozczulność w myśleniu i formułowaniu, które tylko były „atrakcyjne” — to zasada stylistyczna całego odłamu działalności krytycznej. Julian Kornhauser napisał artykuł o „Małych muzeach” Bohdana Zadury („Kultura”, 26 II 1978). I tu tam też widział srebro szadu, że rzeczwiście co ruz musiał przewinąć lekturę. Dla chętniania uszrzydlonej filozoficznie pustki.

Przejdźmy — sposobem Hamiltona — według kolejności tekstu.

„Wiersz nie ma zmieniać czy ostrzec, ale dotrzeć. O te wartości, które znikały nie dlatego, że wyczerpał z użycia, ale dlatego, że nie potrafił się zmieścić w ustalonym porządku”. Co to za przecisławienie? Sa tablicz wartości, które nie potrafiła się zmieścić w ustalonym porządku, a mimo to nie toniechdza z użycia? Na czym w takim razie polega ich niemożność zmieśczenia się w ustalonym porządku? A wiersz ma dotrzeć? Do tak, jakie, strzałki? Ja powiem, że ma odzwiercać, zakrzawać (lembis i tek b-jo), wskazywać, a jeszcze słonek ab-ibn. I chodźmy do wódm, kto ma rację.

„Fascynuje go metoda analogii między tym, a tożem, czymś innym. Można to zrozumieć? Metoda istnieła tylko jako metoda tablicz czynności, analogia nie jest czynnością, lecz stanem rzeczy, więc?”

„Chciałoby się rzec, że nie ma takiej rzeczy, która nie zastępowalaby na owis. Ale nie. Dla Zadury nie jest to problem blasku”. To może coś zastanawiać? Na przykład „Głos w sprawie dzieci”:

„W naszym kraju — Mówię co widziałem — dzieci używane sa niemal wyłącznie do prac pomocniczych

Chodzą po chleb i mleko  
Wynoszą kubły na śmietnik  
Biegają po papierosy  
których nie palą  
I gazety  
których nie umieją czytać

Po jajko którego zabrakło  
po cebulę która wyszła  
wysyła się je do sąsiadki”

Rzeczywiście, ile tu się wymagań postawiało tematowi i sposobowi jego użycia. Jakże dzięki temu padły rewelacje. Oj, nie każdy temat wepchnie się pod pióro mistrzowi od „Małych muzeów”.

Tu jego zwolennik może zauważyć, że postąpiłem nieoświecnie, ponieważ nie przystaliśmy wiersza do końca. Dalej jest mowa o tym, że dzieci rzucają się czasem na ziemię, bliż nozami o chodnik, tupią i placzą. Tak, zostałem przekomany, to doskonale kontrpunktuje z poprzednim, niebawiale wzbogaca widzę.

„Błędem bowiem niewybaczalnym jest przymierzanie własnych pól do cudzych miar. A gdzie miejsce wówczas na tajemnicę? Na tajemnicę, która wyszła nas spod uścisku konsekwencji? Nie wiem, kiedy nie ma miejsca na tajem-

nice, dowiedziałem się tylko, że właśnie ona wyszła nas spod uścisku konsekwencji. I że na własne pozry trzeba mieć miary własne, a nie cudze.

Ale dalej pąbię się kompletnie. Bo najpięknie czytam, że „teraźniejszość jest wpięta w klatki schodowe nowych bloków, dwoje i lotniska umierających miast”, później, że „świat dla dziejeższego jest jak male muzeum, przechowujące parę przeciętnych pejzaży”. To może, żeby wyjść z kłopotu, weźmiemy coś pośredniego? Jakież jednorodzinne domki postawione systemem budownictwa telekopytowego, ale mieszczące w swych wnętrzach jelenie na rykowiskach? Oto skutki, kiedy omówienie krytyczne nie wynika z przemyślanego stanowiska (którego zazwyczaj nie ma), ale z chęci zaszermowania epatującą koncepcję krytyczno-literacką. Wtedy się wszystko potłacza. Najbardziej sens. I oczywiście wniknięcie takiej niekonsekwentnej traktuje się jak niemożność podniesienia wzroku ku filozoficznym wyłynom, gdzie rzeczwiłość nabiera innych wymiarów, a pojęcia stają się osmotyczne, co wkraina dopiero odkonwencjonalizowana refleksja.

Trudno zresztą polemizować, ponieważ w ogóle nie wiem, co znaczą takie np. zdania:

„Próba opisu nie może stać się próbą prawdy”.

„Porównując właśnie »teraz« z »przedtem« docieramy do sedna poetyckiego słowa”.

„Prawa analogii powoduje, że człowiek rezygnuje z przyjemności ataku”.

Nieprecyzyjne, workowate, na rewelację zamierzono logiczne dezynwoltury.

A sama poezja? Guszem, kiedy to „Krajobrazie z amfor” i „Potemaniu Ostendy” awertura rygoru formalnego odrzuciła nielitość wyobraźni, kiedy „klaszczym” zachowywał zamrożenie wiersza, nie można było stwierdzić w nim stanów chwiejących. Stały się wiodące doniole teraz, kiedy przez zwrot ku „współczesności” opadły zakamuflowane podpory.

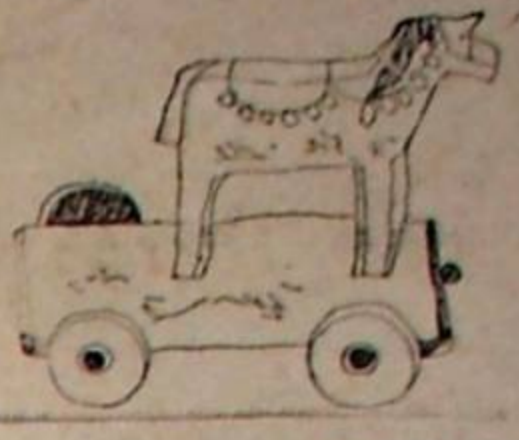
„Małe muzea jak małe kraje a przecieł mogłoby ich nie być i my pracownicy małych muzeów moglibyśmy nie być pracownikami małych muzeów”

I tak dalej. Podrzucać chyba unarty masochizm. Ale żaden recenzent nie napisze, że czarne jest czarne. Bo co to za atrakcja? Napisać, że jest zielone, żółte, fosforowizujące. To dopiero rzut wyobraźni, to śmiałość! Publiczność i w ogóle nikt nie zapomniał, że źródła publikacji sa obstawione. A skoro nie zapomniał, to utwierdza się pozycja tych dwóch. Autora i recenzenta. Jeden sprukował płaską nielitość, drugi ją wywniósł pretensjonalną kasulistyką. A rozszklowi wara.

Czyli dalej debatujemy nad przyczynami nikłego rozwoju młodej poezji.

## Protazy

P. S. Jeszcze Ci, mój Gerwazieku, doniosę co wyczytałem w artykule „Poezja 77. Czytanie i próba oceny” Konstantego Pieńkosza w „Literaturze” z 9 III 1978 r.: „Bardzo interesującym i sprawdzonym poetą jest Bohdan Zadura”. Dotychczas słyszałem, że „sprawdził się” kierownik k.o. w domu wczasowym!



Rys. E. Ingłot

## Kącik „Malucha”

# Samochód kupiony i...

**S**TALISMY więcej posiadaczami floty 136p. Nabyliśmy pojazd zвычайnie w „Polmozbycie”. „Zwyczajnie” — to jest bez szukania znajomości, które by nam umożliwiły specjalny wybór i szczególnie przygotowanie nabywanego samochodu.

Pewne kłopoty z „maluchem” zaczęły się już w momencie kupna, ponieważ gama kolorów oferowana przez „Polmozbyt” jest skromna. Jak akurat przyjdzie do fabryki wagon zielonego lakieru, w sklepie będą zielone „maluchy”, szarego — szare. I tak o le.

Decydujemy się zatem nie na to, co wady chcieli mieć, lecz na to, co nam oferują. 3. z uwagi na bezpieczeństwo jazdy po krótkim namyśle wybrałem kolor biały, który szczęśliwie był w sprzedaży. Kierowałem się wynikami sondy przeprowadzonej przez firmę „Daimler Benz”, która dokonała porównania bezpieczeństwa kolorów nadwozia za pomocą bardzo skomplikowanej aparatury. Porównywano zdolność odbijania światła od powierzchni lakierowanej, decydująca o latwości spostrzeżenia pojazdu na drodze. Brano też pod uwagę barwę nawierzchni dróg, które w 70 proc. są ciemne, w 25 proc. — szare, a w 5 proc. — jasne.

Tak więc biały nadwozie samochodu ma, poza okresem zimowym, najwyższe wskaźniki bezpieczeństwa. Jeśli przyjąć biel za bezpieczną w 100 proc., to już kość słoniowa ma tylko 77 proc., żółty 70 proc., sahara 50 proc., a koral, tak bardzo poszukiwany przez potencjalnych nabywców, tylko 8 proc., ciemna zieleń 4 proc.

Po przejechaniu kilkuset metrów poza bramę „Polmozbytu” usłyszałem głuchy łomot w tynej części samochodu. Okazało się, że śruby mocujące tylnie koła były ledwie skrecone. Niby drobniak, ale świadczący, że tak zwane przeglądy „zerowe”, wykonywane przez „Polmozbyt”, nie zawsze są dokładne. Po przyjechaniu do domu wario więc zabrać się do podokrecania śrub, nie czekając na pierwszy przegląd gwarancyjny. I słusznie, ponieważ w moim „maluchu” cewka zapłonowa, umieszczona przy prawej stronie komory silnika, wisiała tylko na jednej śrubie. Należy też sprawdzić śruby elastycznych przegubów napędowych (przy tylnych kołach) oraz śruby miski olejowej.

Jeśli chcemy wykreślić świecę, a zdarza się, iż nowe świece mają pęknięta porcelankę i trzeba je wymienić, to należy uważać, by podczas tej operacji świece nie wpały do blazanej osłony silnika. W żadnej instrukcji nie napisano, iż najbardziejjczy dostęp do świecy zapłonowych uzyskuje się po zdjęciu pokrywy filtra powietrza wraz z przewodem ssącym. Warto też wiedzieć, że świece w „maluchu” należy koniecznie odkręcać razem z przedłużaczem, a dopiero potem odkręcać sam przedłużacz.

Sa różne „skoty” konserwacji blach samochodu. Jedni twierdzą, iż na konserwacji fabrycznej należy przejeździć cały sezon, inni — żeby konserwować samochód zaraz po kupnie. Jestem zwolennikiem tego drugiego poglądu, niezbyt dowierzać skuteczności konserwacji fabrycznej. Samochód garażulacy „pod chmurką” powinien być konserwowany z mielsca.

Przy tym nie idzie tylko o zabezpieczenie z zewnątrz. We wnętrzu nadwozia zachodzą również procesy korozyjne. Szczególnie atakowana jest podłoga, a to za przyczyną wody wnieszonej łącznie z błotem do wnętrza samochodu (woda ta ma trudne warunki do odparowywania i działa szczególnie szkodliwie przy gwałtownych zmianach temperatury).

Ponieważ miałem zamiar eksploatować mój samochód przez cały sezon, łącznie z zimą, a nie posiadałem garażu, zabezpieczenie przed korozją stało się koniecznością. Istnieje zasada, iż konserwacja winna być przeprowadzana w odstępkach rocznych.

Sa kierowcy, którzy zabezpieczeniem samochodu zajmują się sami, najczęściej używając „biteksu” i pedzelka. Nie doradzałbym tej metody. Oczywiście, można i tak zważać przy tym, żeby „biteks” nie był zbyt gęsty (do rozcieńczenia używać rozpuszczalnika). Nigdy jednak taka reżna robota nie zabezpieczy dokładnie wsawskich zakamów blach, okole śrub, połączeń blach i tym podobne. Rozpuszczonym „biteksem” można natomiast zabezpieczyć części chromowane: zderzaki, klamki, ramiona wycieraczek. Istotniący bowiem na rynku do tych celów lakier w aerozolu jest trudno zmywalny.

Reszta zabezpieczenia należy powierzyć stercy obsługi, która ma do tego celu specjalne urządzenia (tylko namietabym cały czas o pododsu). Dopiero tak przygotowany samochód można zacząć eksploatować.

inż. Krzysztof B.

# PRASA LUBELSKA PISAŁA

## PRZED 50 LATY

● Jedną z najważniejszych budowli na terenie miasta Lublina jest tunel na „przejździe śmieci” przy ulicy Biechawskiej. Budowa tunelu prowadzona już od kilku lat, przechodziła różne koleje. Dopiero w roku ubiegłym dzięki rozmachowi firmy „Paszkowski, Próchnicki i ska” z Warszawy ukończono budowę na powierzchni. Roboty wewnętrzne jak wyprawa, układanie chodników i leźni pod nawierzchnie prowadziła władze kolejowe we własnym zarządzie. Roboty te prowadzone były nawet w czasie zimy, włączem kolejowym chodzilo o to, by tunel oddać w jak najkrótszym czasie. Jedną połową tunelu ma być całkowicie wykończona i kuletna br. Niesco gorzej przedstawia się sprawa dalszych. Magistrat postanowił roboty budowlane dalszych oddać przedsiębiorstwu prywatnemu do wykończenia. O ile beda nieładzie, to jest nadzieja, że tunel całkowicie będzie dla ruchu kolejowego.

● Wczoraj o godzinie 1 w południe z lotniska fabryki „Piage i Łaskiewicz” wystartował do Warszawy „Lublin R VIII”, obrazy samolot polskiej konstrukcji wykonany w zakładach tubelznych. „Lublin R VIII” kierowany był przez inż. mjr. Makowskiego, któremu towarzyszyli konstruktor samolotu inż. Rembicki. Pomimo przeciwnego wiatru „Lublin R VIII” wylądował w Warszawie o godz. 2 no południu, czyli odbył całą podróż za ledwie w godzinę, co przy tego rodzaju konstrukcji i nieomyślnych warunkach lotu uważać należy jako bardzo dodatni egzamin ze sprawności aparatu. Z samolotem „Lublin R VIII” dokonane beda próby w Instytucie Centralnym Badań Lotniczych.

## PRZED 100 LATY

● Wczoraj rozeszła się po mieście wieść, że w murach naszych będzieny mieli przez jakiś czas 26 Turków, jeńców wojennych, i że ei przybędą drogą żelazną nadwiślańską o godzinie 2-ej po południu. Powód do tej pogłoski dal pociąg sanitarny, który przewoził z Dunaju rekonwalescentów do Warszawy.

● Cegła jest najważniejszym materiałem budowlanym i dla normalnego rozwoju budowy nowych domów trzeba mieć pewność, że nie zabraknie tego materiału. Lublin posiada 9 cegielni, produkcja cegły w dobrych warunkach może osiągnąć 18 milionów sztuk. Taka ilość wystarczy zaledwie na 1300 izb, kiedy zapotrzebowanie w Lublinie nowych mieszkań jest daleko większe i aby wstrwónać potrzeby, wypływające z normalnego przyrostu ludności, należy budować do 1400 izb rocznie. A więc cegielnie lubelskie nie wystarczają dla normalnego ruchu budowlanego. W tym sezonie, jednak jedno jest pewne, że Lublin nie znajdzie się w korzystnych warunkach pod względem produkcji cegły. Nie sotrąfała odnawie mielcowe cegielnie nagłokszczenia produkcji bez zmniejszania i nienowoczesności wstych urządzeń. Jednak na tej przebudowie mielcowych cegielni potrzeba znacznych kapitalów.

● Na wydawnictwo jubileuszowe dzieł J. I. Kraszewskiego zapisało się w Lublinie w księgarni p. Arcta dwieście kilkadziesiąt osób. Nie jest to liczba, którą byśmy za wysoką uważać mogli, zapewne jednak zwiększy się ona znacznie, gdyż zapisy ciągle dokonywują się. Wydawnictwo pierwszego tomu jest już zupełnie wyczerpane i ponownie większa liczba egzemplarzy odbija się. Tom drugi już omiecił prasę obejmując opowieść: „Dola i niedola”.

„Gazeta Lubelska”

„Głos Lubelski”

„Ziemia Lubelska”  
Wybrała: Anna Orzechowska

Kamena str. 13



## Ej, te drogi...

Może wreszcie po ulicach Lublina będzie można jeździć bez obawy niepożyczanego porażenia resorów samochodowych? Może sama nawierzchnia będzie lepsza? Może wyjazd ze stolicy województwa w kierunku Krasnolita i Lubartowa nie będzie drogą przez mękę? Może ul. Puławska przestanie straszyć dziurami po kłamki? Może... Nadzieje takie wyrażają Bracia Kamenowicze, winając na stanowisko nowego prezydenta miasta, Longina Zielonkiego, który nie tylko ze sam jest kierowcą, ale i laureatem Krajowej Nagrody II stopnia (1966 r.) za wprowadzenie postępu technicznego w budownictwie drogowym. Ponadto inż. L. Zielonki w swojej karierze zawodowej piastował funkcje kierownika Wydziału Komunikacji PPRN w Chelmie, kierownika Powiatowego Zarządu Dróg Lokalnych (też w Chelmie) i dyrektora Wojewódzkiego Zarządu Dróg Lokalnych w Lublinie. O tym, że był również przewodniczącym PPRN w Chelmie i wiceprezydentem Lublina, nie wspomniamy. Wiadomo.

**Dla kronikarza, który w 2078 roku będzie redagował rubrykę PRASA SPRZED STU LAT PISAŁA**

rzeczywistymi osiągnięciami, lub po prostu sklerozą, czyli chorobą. Przejawy megalomanii wśród ludzi młodych należy natomiast tłumaczyć... Stop — szkoda czasu na ewent. udział w rozprawach sądowych.

## Zanim dorosną

Zofia Walentyńska w „Kurierze Polskim” (z 1/2 kwietnia) tłumaczy (za prof. Szymczakiem?) co znaczy w języku naszych najmłodszych: „rzucić wapno na druty” czy też „próchno wyliczono z dziupli”. Pierwszy zwrot należy tłumaczyć: „poprosić ojca do telefonu”, a drugi — „rodzice wyszli z domu”, czyli „chata wolna — możesz przyjść”. I kto się dziwi, że tak trudno młodym dogadać się ze starymi?

## Męczennica?

Janina Z. zapytała rozwodu, mąż protestował. W tej sytuacji sąd pozew oddalił i rozwodu nie udzielił. Z uzasadnienia wyroku wynika, że Janina Z. uznana została za wyłącznie winną wszystkich nieporozumień. W świetle obowiązującego kodeksu rodzinnego rozwód nie jest dopuszczalny, jeżeli żąda go tylko ten małżonek, który winny jest rozkładu — stąd taki właśnie wyrok. Ale o co chodzi w tej sprawie, która opisana w „Perspektywach” (nr 13) Andrzej Dobrzyński? Postuchajmy!

Małżonkowie byli ze sobą wiele lat, wychowali dzieci i nagle z nocy na noc żona odmówiła Jerzemu Z. współżycia. Pewnego wieczoru postawiła sprawę na ostrzu noża. — Dość już spełniania zuchcianek — mówila. — Przez 25 lat małżeństwa zaspokajałam swoje w tej mierze potrzeby; pora się ustakować. Mąż był innego zdania. Mimo swoich 55 lat ciągle jeszcze uważał miłość fizyczną moją za nie dostojną za treść życia, ale prawie i żądał od żony, aby spełniała swą w tej dziedzinie powinność co najmniej trzy razy na tydzień. Janina Z. należała do kobiet niewielkiej zmysłowości. Poiki w domu były dzieci — ustępowała. Teraz doszła do wniosku, że równouprawnienie w małżeństwie upoważnia ją do zawieszenia współżycia, co biorąc pod uwagę wiek stała uznana za decyzję w pełni uzasadnioną. Na jedynę z rozpraw mąż usiłował osiągnąć kompromis: postulował miłnowicie współżycie z żoną tylko raz na tydzień, w dowolnie wybranym dniu i porze. Małżonka okazała się jednak bezwzględna. Trudno powiedzieć, jak potoczyła się dalsze losy małżeństwa, które na razie nie zostało przez sąd rozwiązane. Hmm...

## Żeby trudniej było zgadnąć

Co to jest: zielona, wisi na drzewie i śpiewa? Siedź pomalowany na zielono i powieszony na drzewie, a śpiewa, żeby trudniej było zgadnąć. Ta głupiotka zagadka przypomina się przy czytaniu nazw różnych zespołów rozrywkowych.

Wśród laureatów VII Wojewódzkiego Przeglądu Wokalistów i Młodzieżowych Zespołów Muzycznych znów spotkali Bracia Kamenowicze nowe dziwactwa. Jednym z nich to zespół o nazwie „Sequentes”. Jest znane słowo łacińskie sequentes, które Horacy używa w wierszu „Qui fit Maecenas...” w zwrocie „laudat diversa sequentes”, co znaczy „chwali odwrótnie postępujących”. Ale skąd w nazwie zespołu zamiast „u” znalazło się „v”? Chyba, żeby trudniej było zgadnąć.

Inny z laureatów przybrał sobie nazwę Speed — Zak — Band. Czy „speed” i „band” już się spolszczyły, czy też „zak” stał się słowem angielskim, choć litera „z”

jest, jeśli nie całkowita, to prawie całkowita wyłączała własnością języka polskiego?

## Własne usługi pocztowe

Wezasowiec i kuracjusze przywykli już do korzystania z usług poczty w transporcie bagażu. Wiele osób pakuje swe rzeczy osobiste i przed wyjazdem z ośrodków wezasowych odnosi je na pocztę, by po powrocie do domu odebrać je od doręczyciela pocztowego. Rzecz zwyczajna, praktykowana od dawna w kraju — na świecie... ale (jak okazuje się ostatnio) nie w Lublinie. Przed kilku dniami jeden z Braci Kamenowiczów nadał w Krynicy paczkę z maszyną do pisania i garderobą, ale w Lublinie otrzymał tylko awizo i musiał sam odebrać paczkę w urzędzie pocztowym, szukać taksówki i odnieść ją do domu. Tak więc wysiłku nie zaoszczędził, bo choć z poczty do taksówki paczki nie dzwigał, to niósł ją z poczty do taksówki. A to na jedno wychodzi. A może by tak listy do Warszawy też osobście odnosił?

## Parada potworków

„Zie po polsku mówią nawet ludzie z cenzurami, nawet doktorzy habilitowani, nawet magistrowie. Zły język polski propagują dziś na masową skalę ludzie przemysłowi, którzy zarzucają nas niesłychanie wymyślnymi potworami językowymi” — w obronie języka rodzimego napisał nie bez racji w „Światłocznym” „Sztandar Ludu” Tomasz Jerko. Zapomniał on jednak do grupy tej dodać — (niektórych) dziennikarzy. Aby nie szukać daleko — w tym samym numerze „Sztandaru” na ostatniej stronie znajdujemy następujące sformułowanie: „Jej długość wynosi 23 km i 11 km szerokości”. (Chodzi o Wyspę Wielkanocną). Dowiadujemy się stąd niezbicie, iż szerokość jest jedną z miar długości. Nie koniec na tym, bowiem w tej samej 13-wersetowej notatce znajdujemy jeszcze dwa błędy: 1) nazwisko odkrywcy wyspy, żeglarza holenderskiego, brzmiał Roggeveen (a nie Roggeveren), 2) odległość między wyspą a wybrzeżami Chile wynosi około 3900 km (a nie 3 tys. km).

Z kolei w tomiku XI „Ekspresu Reporterów”, gdzie pod korektą podpisał się zespół złożony ze znanych publicystów, znajdujemy na str. 48 (reportaż Teresy Toruńskiej i Henryka Jabłonowskiego „Śmierć kopalni” pinezki przez „S” (stary to błąd spotykany również na niektórych fabrycznych opakowaniach pinezki), a na str. 141 (reportaż Tadeusza Kucharskiego „Człowiek z piekła ma szyna”) paranoję przez „ię”.

## Sila czy prędkość?

W świątecznym „Kurierze Lubelskim” (artykuł „Z Lubartowa na Antarktydę”) widnieje następujące zdanie: „sila wiatru dochodziła do 45 m/s”. Analogiczny błąd ponownie również w świątecznym „Przekroju” Jerzy Grzechowicz, który artykuł swój zatytułował „Z silą wiatru 170 kilometrów na godzinę”, a także Olgierd Bodzewicz w „Tokijskim ABC” pisząc: „... sila wiatru przekracza 20 kilometrów na godzinę...” (str. 210). O sile wiatru można mówić jedynie w wypadku, gdy określamy prędkość w skali stopniowej niemiłanowanej, np. w trzynastostopniowej skali Beauforta, natomiast przy określaniu w m/s czy km/godz., zawsze mówimy o prędkości. Do rozróżnienia tych dwu pojęć wystarczą szkolne wiadomości z fizyki.

## Miła kwadratowa to dużo

W świątecznym programie TV mieliśmy okazję obejrzeć ciekawy film amerykański „Ołbrzym”. Jednym z jego bohaterów jest wielki posiadacz ziemski w Teksasie. Albo lektor dialogów, albo tłumacz mocno jednak przesadził mówiąc, że jego posiadłość wynosi 500 tys. mil kwadratowych. Miła, jak wiadomo, ma ok. 1600 m, czyli miła kwadratowa około 2,6 km kw. Dobra jego miłabyby więc: 500 tys. × 2,6 tj. 13 mln km kw., czyli około czterokrotnie więcej niż powierzchnia Polski, a blisko dwukrotnie więcej niż powierzchnia całego stanu Teksas, która wynosi 698,4 tys. kilometrów kwadratowych.

Bracia Kamenowicze

**ekran  
i  
widz**

## „Silna czwórka” amerykańska

ŚWIĄTECZNY „Paris Match” podaje listę dziesięciu filmów cieszących się w stolicy Francji największą popularnością; na pierwszym miejscu znajdują się „przyszłościowe” amerykańskie „Bliskie spotkania trzeciego stopnia” Stevena Spielberga. Tymczasem na ekranach amerykańskich, w Londynie, w Berlinie Zachodnim, furorę robią „Gwiezdne wojny” George’a Lucasa. Brytyjski miesięcznik „Films and filming” przyznaje swoje doroczne nagrody; wśród laureatów za rok ubiegły — oczywiście „Gwiezdne wojny”. Nagrodzono je potrójnie: jako najlepszy film wojenny, za najlepsze efekty specjalne oraz jako — najbardziej preceniony film roku. Za najlepszy film roku redakcja „Films and filming” uznała włoskich „Szacowanych nieboszczyków” Francesco Rosi. Film wyświetlany, nawiasem mówiąc, z dużym powodzeniem przed kilku miesiącami również na polskich ekranach.

Nazwiska Spielberga nie musi się komentować. Młody twórca „Pojedynku na szosie” i „Sugarland Expressu” zdobył światową sławę jako realizator dreszczowca „Szczęśliwi”. George Lucas, autor (nie wyświetlanych w Polsce) „Szkieł amerykańskich”, wyskoczył nagle wysoko ponad powierzchnię hollywoodzkiej superprodukcji wspomnianymi już „Gwiezdnymi wojnami”, specyficzną odmianą gatunku science fiction, filmem nawiązującym swoją poetyką do fantastycznych amerykańskich komiksów z lat pięćdziesiątych. Spielberg i Lucas stanowią jednak tylko połowę najbardziej obecnie modnej amerykańskiej „silnej grupy” filmowców; uzupełniają ją Francis Ford Coppola, który pierwszy z owej zaprzyjaźnionej i silnie ze sobą związanej czwórki odniósł światowy sukces filmami o „Ojcu chrzestnym”, oraz Martin Scorsese, twórca „Nędznych ulic”, „Alicja już tu nie mieszka” (z popiową rolą Ellen Burstyn), „Taksówkarza” z Robertem De Niro w roli tytułowej, na koniec: musicalu „New York, New York” z Lizą Minelli. O tej grupie młodych, bo urodzonych w latach czterdziestych, reżyserów mówi się, że odnowili amerykańskie kino. Każdy oczywiście na swój sposób, wynikający z ich odmiennych osobowości.

Martin Scorsese, który zdobył najmniejszą sławę — przy najmniej sławę tego typu jaką lansują wielkonakładowe kolorowe tygodniki zachodnie i znane agencje reklamowe — oraz który posiada najniższe konto bankowe w porównaniu ze swoimi kolegami, wydaje się być najciekawszym reżyserem z całej czwórki. Ostatnio nakręcony „New York, New York” nie wzbudził wprawdzie zachwytu krytyki, ani nie



Jodie Foster jako Iris oraz Robert De Niro — taksówkarz Travis Bickle, w jednej ze scen „Taksówkarza” Martina Scorsese. Jodie Foster, urodzona w 1963 r., od trzeciego roku życia występuje na ekranie. Dawne „cudowne dziecko”, uważana jest dziś za jedną z najbardziej rokowujących nadzieje młodych aktorek amerykańskich. Wystąpiła dotąd w 7 filmach i kilkudziesięciu filmach i widowiskach telewizyjnych.

stał się popularny wśród widzów, natomiast „Alicja już tu nie mieszka” z przyznaniem w 1974 r. Oscarem za najlepszą rolę kobiecą oraz zrealizowany w 1976 r. „Taksówkarz” stawiają Scorsese’a w rzędzie twórców ambitnych, zaangażowanych w socjalne i polityczne problemy współczesnego społeczeństwa amerykańskiego. Zarazem: penetrujących trudne obszary ludzkiej osobowości, psychicznych dewiacji wyalienowanych ze społeczeństwa jednostek. Tak właśnie jest w wypadku „Taksówkarza”, który nareszcie, w rok po zaprezentowaniu na „Konfrontacjach 77”, wszedł na nasze ekrany.

W ciągu owego roku napisano już w prasie fachowej, w tygodnikach „Film” i „Ekran”, dostatecznie dużo na temat „Taksówkarza”, aby wydawał się on dzisiejszemu widzowi artystycznym objawieniem. Aby doskonała kreacja Roberta De Niro, filmowego nowojorskiego taksówkarza, uczestnika wojny w Wietnamie, outsidera nie potrafiącego się przystosować do miasta-molocha, miasta jawiącego mu się wyłącznie jako stolica korupcji, występku i zepsucia, aby ta kreacja aktorska w pełni do nas potrafiła przemówić. A jednak mimo to narastająca atmosfera szaleństwa, w jakie popada jeden z „przeciętnych amerykańskich chłopców”, pragnący osobiście wymierzyć sprawiedliwość społeczeństwu, którego nie potrafi i nie może zaakceptować, każe śledzić ten film z zapartem tchem. A końcowa, gorzko-ironiczna refleksja reżysera każe wierzyć, że Scorsese, syn niezamożnych włoskich emigrantów z nowojorskiej dzielnicy zwanej Mała Italia, będzie się trzymał własnej drogi, odmiennej od owych wygodnych i luksusowych autostrad, jakie wiodą do siedzib „rodziny Corleone”, ku „Gwiezdnym wojnom” i „Bliskim spotkaniom trzeciego stopnia”.

MD



# POCZTA literacka



„Leszek”. Czuje, że na mnie chce Pan przerzucić odpowiedzialność za swoje przyszłe piśmiotwo. Nie przyjmuję. Czy należy pisać? Nie wiem. Zależy, jak Pan złoży się z tym zajęciem, na ile daje ono Panu zadowolenie. A jak wiersze obecne? Nie powiem, że nie interesujące. Tylko ekstremalne. Albo oczywistość, albo skojarzenie tak odległe, że tekst się staje nieczytelny.

J.K. Nałęczów. Więcej tu śmiałości niż samokontroli. Treść, którą chce Pan wprowadzić w słowa, jest „zamaszysta”, ale sam proces realizacji szwankuje. Za dużo ufa Pan rozmachowi, potrzebna jest uwaga, a nawet podejrzliwość. Stanać z drugiej strony rękopisu, przypatrzeć się okiem czytelnika! Uniknie Pan wielu nie tylko błędów, ale również mimowolnie śmiesznych sformułowań. A nawiasem: dlaczego w wierszach tak mało malarstwa, skoro to drugie to pańska pierwsza profesja?

B.S. Lublin. Gdzie szukać wzorów pańskiej twórczości? Chyba w Upantszadach. Bo nie tylko nie w obecnej, ale również nie w romantycznej, nie w oświeceniowej i nie w klasycznej poezji. W konsekwencji trzeba mówić o chałupnictwie. Z kolei jednak nie jest to na tyle „samowolność”, by ważyło oryginalnością prymitywu. Jak w niektórych dziełach twórczości ludowej. Nie wiem też, czy stwierdzenie „w rodzaju „wartki i bystry strumień czasu jest”, daje Panu satysfakcję. Jeżeli tak, nic nie przeszkadza pisać dalej.

„Kaśka”. Ja taki list wypadałoby odpowiedzieć samymi kurtuazyjnościami, ale kobieta o ile lubi komplementy nawet fałszywe, to kobieta pisząca woli na temat swoich tekstów prawdę. A prawda — nie będę ukrywał — nie jest zachwycająca. Pani tkwi przy tym anachronizycznym już „ulgowym” traktowaniu przeżyć, według którego wystarczy trochę powzdychać, trochę się zasmucić, by został wyrażony nastrój. W tym wypadku jesień. Proszę skorzystać z pouczeń matematyki, którą Pani studiuję. Tam wywód musi się logicznie rozwijać. Wiersz też. Nie można rozplątać się w nastroju, nie można sumować bliskoznacznych określeń, nie można zatrzymać ruchu wyobraźni. Ze „jesień strąca liście, osalca drzewa”, to nawet nie tabliczka mnożenia, to tabliczka dodawania w poezji. Potrzeba się zdobyć na operacje wyższego rzędu.

L.P. Piła. Wiersze tak zwane liryczne... Mówię „tak zwane”, ponieważ w tej postaci na to miano nie zasługują. Więc już nie potrzebuję kończyć zaczętego zdania. Nie jest zwrotem poetyckim „Jak pięknie latem jest nad Bałtykiem”, ani „Dla czegoż już odeszła, moje kochanie”. Natomiast widzę pewne możliwości w wierszykach humorystycznych, żartobliwych, swobodnych. Myślę, że jeśli koniecznie musi Pan pisać, to w tym rodzaju i stylu.

„Grażyna”. Pewien temperament liryczny w tych wierszach istnieje. One mają swój głos. Jednak za dużo jeszcze tego nastroju, tej litymności wyznania. Pisząc wiersz konstruujemy równocześnie naszą wizję świata, niezależnie od tego, że wiersz może być o miłości. I tego mi w tych tekstach brakuje: odwagi. Wszystko na zasadzie biernego przewidywania. Wiersz może i jakiś buncik by się przydał! Tak, żartuje, ale chyba w ten sposób porozumieliśmy się: potrzeba określenia siebie w świecie, nie tylko wiersza w świecie słów.

L.L. Gliwice. Jakże mi to przypomina wiersz Tuwima „Nauka”:  
Wiem o kuli, napelnionej lodem,  
O bursztynie, gdy się go pociera...  
Wiem, że ciało, pogrążone w wodę  
Traci tyle, ile... etcetera”.

Jestem Pani wdzięczny za chwilę wspomnienia mej czwtniejszej młodości. Ale jeśli chodzi o Pani wiersz „Przed tablicą”, to brakuje mi poity, zamknięcia, jakie widzimy u Tuwima w postaci żartobliwego życzenia skierowanego do Pana Boga, by zostawił poetę na drugie życie. Jak na drugi rok w tej samej klasie. Skoro przywołałem poetę, zadanie moje się kończy. On pokazał, że wyliczanka w wierszu nie wystarczy, że powinna czemuś służyć.

W.Z. Gdańsk. Proszę Pana, jesteśmy w redakcji z b-t starymi wroblami, by nie wiedzieć co to znaczy, kiedy młody poeta mówi, że ma do „Kamieny” szczerolny sentyment i predykcję. Niezależnie od tego dziękujemy i czujemy się mocno zobowiązani. Prosimy jednak wziąć pod uwagę pewne bezsporne okoliczności: nie jesteśmy nismem wyłącznie literackim, a i tak chyba z nism w całej Polsce — z wyjątkiem oczywiście „Poezji” — na noszę przeznaczenia najwiecej miejsca. Tym niemniej zatrzymujemy w tzw. tece z sonetów II, 12 i 14. Nie możemy jednak przyjąć zobowiązania co do terminu druku.

S.R. Konin, A.C. Wałbrzych, S.L. Lublin, W.G. Warszawa, J.M.M. Wrocław — nie wykorzystamy.

## KRZYŻÓWKA

(nr 8)

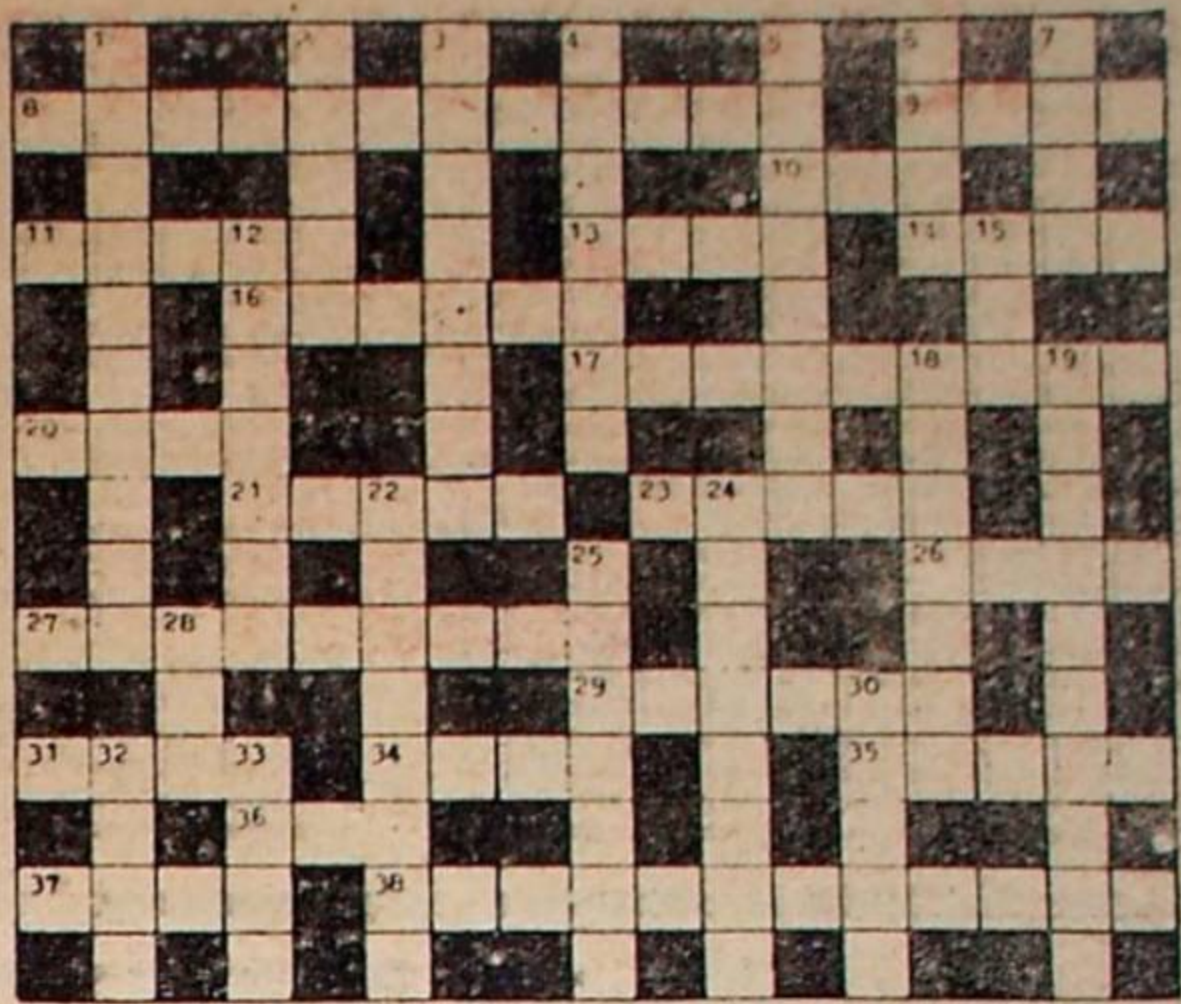
Poziomo: 2. pisarz współczesny, autor ostatnio wydanego „Zawalu”, 3. pierwiastek promieniotwórczy, 10. bóstwo z mitologii germańskiej, 11. odwołana przez pług ziemia, 12. rzymski bóg miłości, 14. samochód, 16. jednostka papieru, 17. spadkobierca, 20. zwierzę hodowlane, 21. kreda na murze, 23. pierwiastek chemiczny dający nazwę podgrupie, 26. handluje prasą, 27. boginka słowiańska, 28. agent wywiadu, 31. rzeka z gwizdanego marsza, 34. widowisko rozrywkowe, 35. etap rozwoju owada, 36. ciało lotne, 37. słynny obraz Podkowińskiego, 38. prawdziwe nazwisko Jana Syrokomli.

Pionowo: 1. wieszak Adam, 2. polski motorower, 3. dramaturg polski XIX wieku, autor „Na taskawym chlebie”, 4. ciało niebieskie, 5. ściana rynku, 6. część broni palnej, 7. filozof XIX wieku, twórca imperatywu kategorialnego, 12. pałac przemysłu slarkowego nad Wisłą, 13. kanton w Szwajcarii, 18. starosłowińska spółdzielnia rolnicza, 19. poeta, którego 75-lecie urodzin przypadło ostatnio, 22. pieniądże lub rzeczy dane komuś do zwrotu, 24. patron zakładów radiowych w Warszawie i Lubartowie, 25. wodospad, 28. wierszba z bajkami, 30. pisarz amerykański, laureat Nagrody Nobla, 32. dynastia szwedzko-polska, 34. maleńkie narzędzie krawieckie.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

Rozwiązanie krzyżówki z nr 6

Poziomo: Przemyski, Rybnik, perspektywa, wioślo, chiton, sanos, Franio, ser, tyrada, stół, etap, lizka, Ozd, rabata, man-



na, lawina, natura, Tarkwiniusz, zdanie, księgarnia.

Pionowo: krew, Ebro, miał, rzemiosło, szpunt, cytra, Warszawa, stan, ochota, stypa, Niasa, filomata, arsen, iskra, Redliński, tarpan, brat, twór, fiaska, nikk, Andy, urna, Abel.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 6 bony książkowe po 40 zł każdy wylosowali: Eugenia Bożyk 20-218 Lublin, Hulinca 28/3, J. Świątkowska 53-407 Wrocław, Prochnika 129/7, Bogusław Piasecki 20-410 Lublin, 1 Maja 37/4, Krzysztof Raczkiewicz 22-600 Tomaszów Lubelski, 22 Lipca 32.



### „OCHRONKA” ZEROMSKIEGO

Zwracam się do szanownej redakcji z uprzejmą prośbą o zajęcie stanowiska w następującej sprawie.

W swoim czasie nasz wielki pisarz i działacz społeczny Stefan Zeromski ofiarował dla Nałęczowa piękny, stylowy budynek i nazwał go „Ochronką”, a celem jego było wspólne wychowywanie dzieci tegoż Nałęczowa. Wiemy, że ta szlachetna idea spełniła i nadal spełnia swoją rolę z pozytywnym miejscowym i szerokim przykładem społecznym.

Nasuwają się jednak formalne pytania: dlaczego zaprzestano tutaj nazwę budynku Stefana Zeromskiego „Ochronka”? Fakt, że obecnie takie samo zaprowanie dzieci nazywa się przedszkolem, nie dowodzi, aby to przedszkole miało się w historycznym budynku nazywanym „Ochronką”.

Jeśli redakcja uważa za stosowne, to byłoby wskazane poruszenie tej sprawy w najbardziej właściwym sposób, a z pewnością odpowiednio władze Nałęczowa przynależąca do nazwy, która tak dobitnie przypomina Ofiarodawcę — Stefana Zeromskiego.

Adolfina Płomińska  
Warszawa

### OJ, NA LUZIE, NA LUZIE!

W telewizyjnej „Antenie” nadanej w pierwszy dzień świąt wielkanocnych, wystąpiła pani Barbara Pietkiewicz, która zapowiedziała to i owo zaledwie odbiorcom programu, aby święta spędzić „na luzie”. Rozumiem: pani Pietkiewicz należy do „branzji” posługującej się swoistym slangiem środowiskowym, albo też posiada samochód i bierze udział w rajdach Warszawa-Sródmieście — „Panderosa” ale czy są to momenty uprawiające publiczne deprecjowanie językowe, uprawiane bez żadnych skrępowań? Pani redaktor, jeśli przeczyta te słowa, wczasy zapewne ramionami, albo zapyta, o co mi o diabła chodzi — tak, jak wyraziła się ekspedientka sklepu spożywczego przy rogu Krakowskiego Przedmieścia i Włocławskiej, podnosząc bułkę z podłogi i wręczając ją zaskoczonym klientce lubelskiego sklepu (stoisko z pleczywem).

Alicja Kamińska  
Lublin

### DONOS NA WITKACEGO

W lubelskim numerze „Nowego Wyraza” z sierpnia 1974 r. (nr 8) były redaktor naczelny tegoż miesięcznika Jan Witan w doskonałym szkicu pt. „Zakłete kolo. Wizja Czasu i Historii w poezji Józefa Czechowicza” pisze: „... Czechowicz wierzy w biblijny mit Dnia Ostatniego, którego wizję wzorowaną na wiejskich tzw. „świętuch obronach” kreował w wierszu „Przemiany” ironizującym z mechanistycznej koncepcji człowieka:

jestes system mechanicznie doskonały  
i nagle się coś zepsulo  
Oto płaczesz  
po kątach trudno znaleźć przeszły tydzień  
linie proste falują — zamiast kwadratów  
romby  
w każdym głosie slychać w całym  
bezwstydzile.

Ostatecznego Dnia trąby

otworzyły się oczy niebieskie  
widzą razem wiryng sklepową i sąd  
przenika się nawzajem tłum — archanioły  
i ludzie

chmurne niebo faluje przez ląd...

Tyle Witan.

Natomiast Marek Grechuta śpiewa wyżej przytoczone „Przemiany”, z tym, że ich autorem jest, według prezenatorów Polskiego Radia, mistrz Witkacy!!! Kiedy to pierwszy raz obudziszono, pomyślałem: ludzka rzecz, sypnął się facet. Ale gdzie tam, „Przemiany” firmowane przez Witkacego prezentowano w PR już bodajże kilkanaście razy. Prezentowano, prezentuje się i prezentować będzie... I słusznie, bo to i „tekst” doskonały i muzyka Jana Kantego Paoluskiwicza, jak zawsze znakomita, a interpretacja Grechuty niezwykła przekonująca. Ale „ludzie, coś mi tutaj nie gra” — jak śpiewał Wojciech Skawronski. Tylko co? Zastanawiam się, kto wystawił do wiatru Czechowicza: Witkaca, Grechuta czy Polskie Radio? A może to Witkacy poili ofiarą Witanem? W każdym razie: „oj, niedobrze panowie, niedobrze”.

Marek Barański  
Lublin

### WIZERUNEK LUBLINIANINA?

Chciałbym uprzejmie zapytać, czy spora drewniana figura, ustawiona na skarpcie przy ul. Filaretów w Lublinie, niedaleko rzeźb kamiennych, przedstawia wizerunek typowego lublinianina? Chodząc w marcu po waszym pięknym mieście jakoś nie zauważyłem, aby na ulicach dominowali ludzie z wodogłowiem lub wielkimi czerepanami. A może jest to Marszanie zamieniony przez demituroa w kawałek drewna i na wszelki wypadek przytroczony do drugiego pała obręczami?!

Marian Leszczyński  
Łódź

### Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich Założyciele Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Maria Rebeczyk-Rudnicka (sekretarz redakcji), Tadeusz Gwardak (z-ca red. naczelnego), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunta Mańkowski, Zygmunta Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) i Maciej Podgórski (redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek

Przenumerate na krajoryjmują Oddziały RSW „PRASA-KSIĄZKA-RUCH” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele — w terminach:

— do 25 listopada na styczeń i kwartał, i półrocze roku następnego i na cały rok następny.  
— do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe okresy roku bieżącego.

Cena prenumeraty rocznej — 78.—

Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje i organizacje społeczno-polityczne składają zamówienia w miejscowych Oddziałach RSW „PRASA-KSIĄZKA-RUCH”

Zakłady pracy i instytucje w miejscowościach, w których nie ma Oddziałów RSW oraz prenumeratorki indywidualni zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych lub u doręczycieli.

Przenumerate ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej przyjmują RSW „PRASA-KSIĄZKA-RUCH” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 90-950 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach podanych dla prenumeraty krajowej.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14-18.

Wydawca RSW „Prasa-Książka-Ruch” Lubelskie W. dawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4, Zam. 954.

Numer łamali: Mieczysław Paujek i Tadeusz Słoboda, drukował zespół pod kier. Eugeniusza Kuredy

Adres redakcji 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-93, sekretarz redakcji 218-93, z-ca red. nacz., dział publicystyki i literacki 275-35.

Korespondencje zwykle kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecane i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Nr indeksu 36251





## TELEGRAMY

gratulujemy pomysłu ale tego nosa zbyt nie nadzierajcie stop witold filler szpilki

każdy nos na wagę złota stop gratuluję milionów stop wojciech drygas karuzela

kłania się wesoly sanitariusz stop zawsze chętnie służę pomocą w razie kataru stop andrzej mleczko

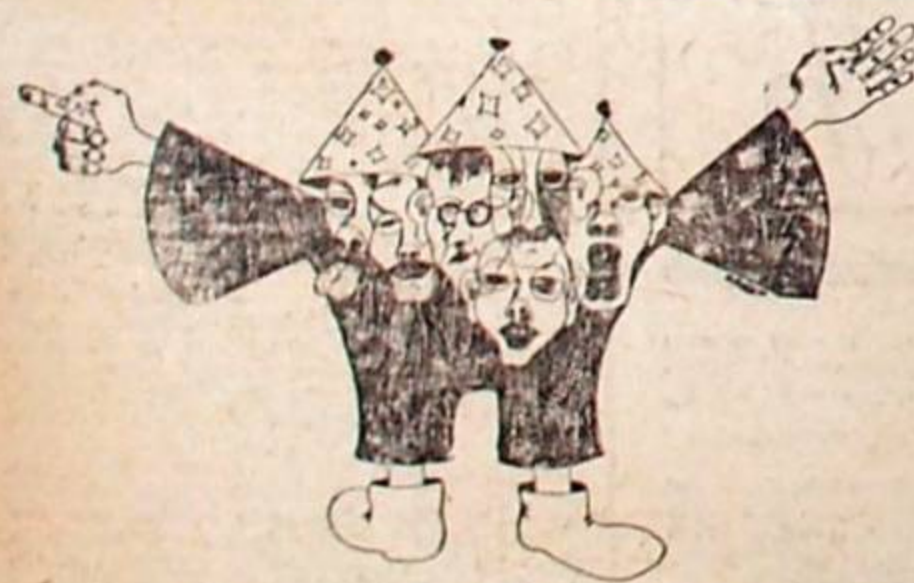
dziękujemy za depeszę stop witamy waszą inlejątywą stop teraz będziemy mogli nie tylko podrapać się w ucho ale i podlubać w nosie stop trzymajcie się wiatru stop redakcja studenta

nie umkniecie nam stop barwy i o nosie będą pamiętać stop henryk gaworski redaktor naczelny barw warszawa

nos nosem ale gdzie czoło stop trzeba w coś się stuknąć stop józef prutkowski

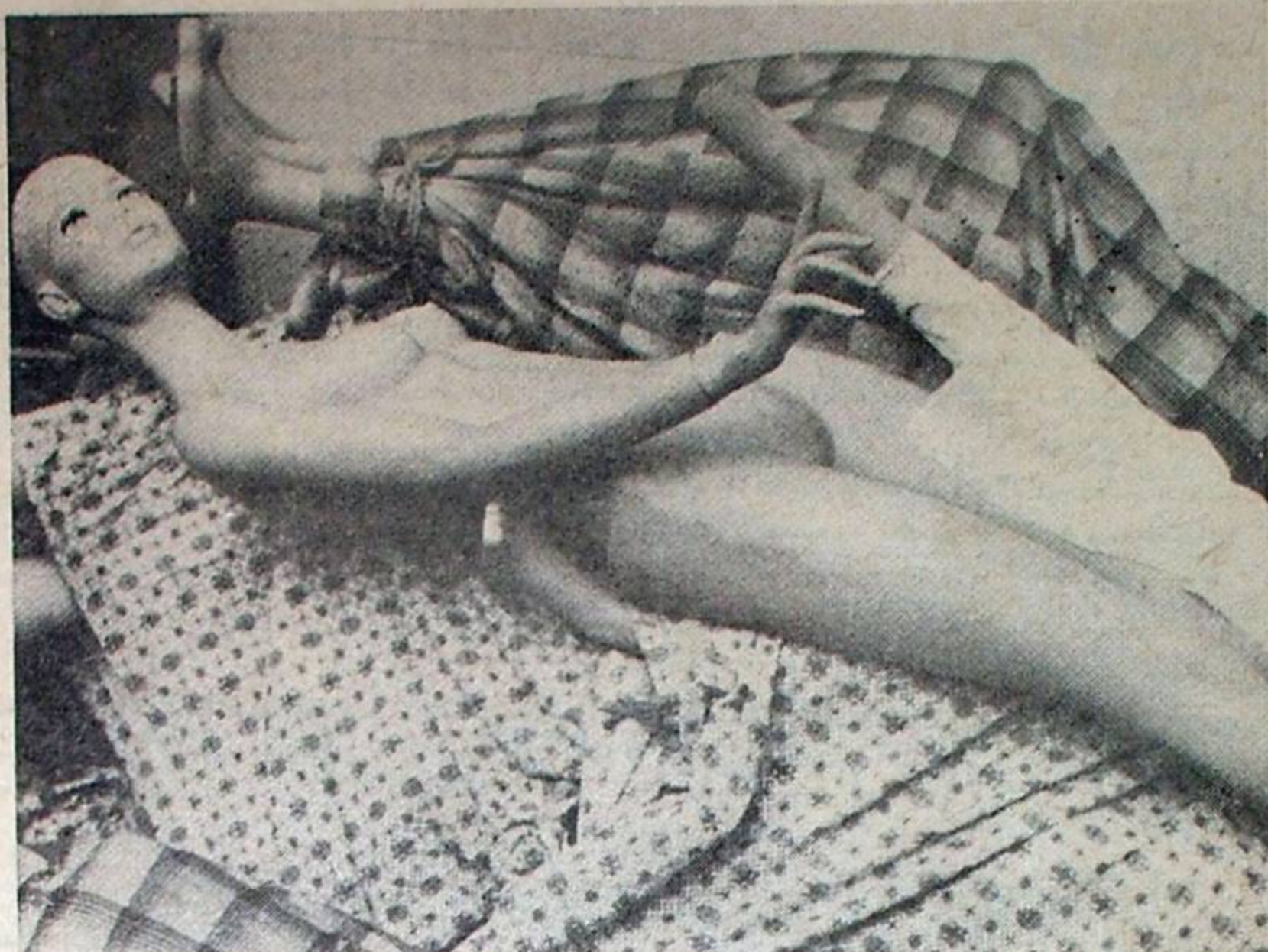
Poza wyżej wymienionymi również od Tadeusza Fity, Zygmunta Kalużyńskiego, Jana Englerta, Władysława Machejka i wielu, wielu innych żadnych telegramów nie otrzymaliśmy. Dziękujemy.

„Nos”



Pajace

Rys. M. Rybicki



Akt

Fot. L. Leo

## O TEATRACH

O teatrach naszych mówią rzecz pasywną, dyrektorzy ciągle tyją, a teatry chudną.

## W SZKOLE

— Co to jest dyscyplina? Nie wiem. Takiego słowa w Polsce nie ma.

## AKTUALNE?

## MIERNIK CZASU

— Z pierwszym mężem żyła długo? — Czy ja wiem? Może tak z dziewięć tysięcy kilometrów jazdy autem.

## CHOĆ...

— Mistrzu — rzekł prezydent miasta do słynnego poety. — Jak mistrz tylko umrze, obdarzymy mistrza całą ulicą! — Och, panie prezydencie — odrzekł poeta — rzekam się ulicy po śmierci, a dajcie mi dziś choć dwa pokolki z kuchnią, bo mieszkam na poddaszu.

## HURA!

Początkujący poeta: — Hura, toni! Popatrz! W spisie abonentów telefonicznych już jestem z imienia i nazwiska, teraz tylko dostać się do Encyklopedii i słowa zapewniona.

„Mucha” — 1937

## OT CO!

Ryby nie mają głosu. Z wyjątkiem ryb grubych.

Józef Witkowski

Na gotowe każdy gotów.

Władysław Grzeszczyk

## INFORMACJE Z PIERWSZEJ RĘKI

Z gabinetu kierowniczki klubu „Nora” skradziono ostatnio kalendarz z ważnymi notatkami: dotyczą one konsumpcji alkoholu przez poszczególnych przedstawicieli środowisk twórczych. Ponieważ kalendarz ów będzie miał wielkie znaczenie dla przyszłych historyków badających czwartą ćwiartkę XX wieku, sprawa nabrała dużego rozgłosu.

Jak poinformował „Sztandar Ludu”. Rawicz obchodził mały jubileusz; właśnie w gazecie ukazała się jego dwusetna publikacja. W imieniu zespołu gratulacje zasłużonemu współpracownikowi pisma złożyła red. Mirosława Knorr. „Skąd my się znamy?” — zapytał podpułkownik. Śledztwo w toku. Może przy okazji ujawni ono i imię ppik. Rawicza.

Nasz korespondent donosi ze Szczecina: w przedświąteczną sobotę red. Bogdan Chocianowicz i red. Andrzej Androchowicz — obaj z TV — spojowali się w godzinach popołudniowych i wieczornych. Spotkanie miało charakter wyłącznie prywatny. Zapewne dlatego następnego dnia do południa mieszkańcy Szczecina odczuwali trudności z dopływem wody. Na szczęście miejscowe gazety nie ukazywały się.

## CZUBEK

Prosimy Czytelników, nie tylko z czterech wschodnich województw, o pomoc w redagowaniu tej rubryki. Najciekawsze informacje z pierwszej ręki będziemy oddzielnie (poza honorariami) premiować, chociaż wycieczki na Wyspy Kanaryjskie w grę nie wchodzi.

## Wizyta w OKP-ie

Romuald Lenec

— Proszę pana — zwrócił się do mnie urzędnik — nieświadomością nie można się tłumaczyć. Zbliża się powoli, lecz nieubłaganie rok dwutysięczny pięćdziesiąty, a nasz OKP, czyli Ośrodek Koordynacji Pokoleń istnieje już od trzech lat. Trzeba było przyjść bez imiennego wezwania. Złatwiamy właśnie literę W. Pięćset złotych kary za spóźnione stawienie i zamiana na dwa tygodnie arszlu. Czy zdecydował się pan nareszcie, jaki zawód obiorą pańskie prawnuki?

— Nie jestem nawet dziadkiem. Tylko oicem trojga nastolatków, pan tu o prawnukach... Wolne żarty.

— Zartami nie wolno się wykręcać ani zastaniać. Niech się pan zastanowi, jaka ogromna odpowiedzialność spoczywa na panu jako pradiadku programującym wektory trendów umysłowości i stopień scalenia następnych pokoleń z przyszłym środowiskiem i biosfery i antroposfery — nacierał urzędnik.

Zajrzałem na wszelki wypadek do dowodu osobistego i uszczypnąłem się w rękę. Sprawdziłem datę urodzenia: miałem dopiero 43 lata i o pradiadkostwie nie mogło być mowy.

— Spojrzenie ma pan nieprzytomne — stwierdził urzędnik wylapując moje zamyslenie. — Zaraz poprosimy psychologa, specjalistę od postaw zбоченіowych, który stwierdzi stopień pańskiej poczytalności i zdolność odpowiadania za prawnuki. Dwieście złotych wojsowego za drugie półrocze na Uniwersytecie „Ila Pradiadków. Czy wysłuchał pan bodaj dziesięciu wykładów obowiązkowych w pierwszym semestrze?

Czułem, że oblewam się piąsem uczniaka przyłapanego na nieuczciwie.

— Skończyłem kiedyś swój kierunek studiów. Nie wiedziałem, że zachodzi konieczność wpisania się na następny fakultet... — bąkałem speszony.

— Jest pan zacofany — pouczał referent OKP-u. — Czy nie pojmuję pan, że za siedemdziesiąt lat będzie za późno na decyzję co do zawodu pańskich prawnuków i że trzeba koniecznie już dziś postanowić o wszystkim? Uprzedzam, że decyzji nie wolno będzie zmieniać za głupich pięćdziesiąt lat. Specjalizacje zostaną zaklepane przez innych obywateli, a posady obsadzone przez ich prawnuków — Urzędnik wyjął z biurka tabelę — Możliwości posiadają ogromne: koordynator laserów programator w fabryce obrazów i elektronowych baniek mydlanych — zapalał się urzędnik. — Operator tablicy rozdzielczej do poruszania automatycznych rak w fabryce stereowizualnych telewizorów mechanik stacji obsługi latających taksówek-poduszkowców, główny klejmistrz i wytwórni papierowych ubrań...

— Namyśliłem się — przerwał urzędnikowi — Już wiem. Woda kapie mi od roku z dziurawej rynny na balkon. Skrzynki na buty nie ma mi kto sklepać z drzewa, do pomalowania mieszkania trzeba ustawić się w kolejce. Zatem moje prawnuki zostaną: blacharzami, stolarzami i malarzami pokojowymi. Zbiła małatek.

Urzędnik popatrzył na mnie zgorzonym. — Zawiodłem się na pana — powiedział. — Od początku podejrzewałem, że jest pan niepoczytającym realistą — i oddał mnie w ręce psychologa.

2015 0552/1978/8